

JOHN W.CAMPBELL

ZBIÓR OPOWIADAŃ

Spis treści

Kim jesteś?	3
Noc	58
Zmierzch	77

Kim jesteś?

1

Wszędzie cuchnęło. Przedziwny, przyprawiający o mdłości smród, na jaki natknąć się można tylko w skutych lodem barakach antarktycznego obozu, był mieszaniną zaduchu, parującego ludzkiego potu i intensywnego fetoru stopionego foczego łożu: Odór mazidla walczył ze stęchłym smrodem zmoczonych potem i śniegiem futer. Powietrze wypełniał drażniący swąd przypalającego się gotowanego tłuszczu, tłumiąc całkiem już przyjemny zapach psów.

Dołączał się do tego odór oleju maszynowego, kontrastujący ostro z obrzydliwą wonią garbowanej skóry i rzemieni na uprząż. Mimo wszystko z owego pomieszanego fetoru istoty ludzkich, psów, maszyn, kuchni wybijało się coś jeszcze obrzydliwszego. Była to woń osobliwa, od której włos jeżył się na głowie - woń obca w świecie rzeczy i ludzi: I był to zapach istoty żywej, pochodził jednak z czegoś, co leżało na stole, związane sznurem i zawinięte w brezent; z czegoś, co ociekało powoli i systematycznie na masywne deski, mokre i nędzne, w nie osłoniętym, oślepiającym świetle elektrycznym.

Blair, biolog wyprawy; niski i łysy jak kolano, szarpnął nerwowo tkaninę, odsłaniając ciemny łód, i natychmiast gorączkowo naciągnął brezent z powrotem. Jego drobne, ptasie ruchy, wykonywane z tłumioną gorliwością, odbijały się tańczącym cieniem na brzegach zawieszonych pod niskim sufitem brudnoszarej bielizny. Równiutki kosmyk siwiejących włosów opasujących jego łysą czaszkę otaczał komiczną aureolą ocienioną głowę.

Komendant Garry podszedł do stołu, odsuwając na bok zwisające luźno nogawki bielizny. Wolno przebiegał oczyma ludzi, ściśniętych jak śledzie w beczce wewnątrz budynku administracyjnego. Jego wysoka postać wyprostowała się wreszcie.

- Trzydziestu siedmiu. I wszyscy tutaj - skinął głową. Mówił niskim głosem, którego ton zdradzał wyraźne oznaki władzy wynikające tak z charakteru, jak i z funkcji dowódcy.

- Znacie w skrócie historię tego znaleziska, na które natknęła się Druga Wyprawa Polarna. Naradzałem się już z moim zastępcą McReadym i z Norrisem, jak również z Blairem i z doktorem Copperem. Są różnice zdań, a ponieważ dotyczy to całej grupy, sprawiedliwość wymaga, aby wypowiedzieli się wszyscy uczestnicy wyprawy.

- Poproszę McReady'ego o podanie wam szczegółów tej historii, ponieważ byliście wszyscy zbyt zajęci własną pracą, by dokładnie śledzić działania innych. McReady?

Wyłoniwszy się z niebieskiego od dymu dalszego planu, McReady - jak postać z jakiejś zapomnianej baśni, jak majacząca groźnie statua z brązu, w której trwało życie - ruszył

w ich stronę. Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu. Zatrzymał się przy stole, a potem wyprostował, w charakterystyczny sposób spoglądając w górę, aby upewnić się, czy pod belkami niskiego stropu wystarczy miejsca na głowę. Miał wciąż na sobie gruby, wściekle pomarańczowy skafander, który na jego olbrzymim ciele wyglądał wcale nieźle. Nawet tutaj, pod dachem, cztery stopy od nanoszącego śnieg wiatru, hulającego po antarktycznej pustyni, wdzierał się ziąb zamarzniętego łądu, tłumacząc szorstkość tego człowieka. Człowieka z brązu, z wielką rudobrazową brodą i bujnych włosach tego samego koloru. Z brązu miał dłonie, żyłaste, jakby owinięte powrozami, które na przemian zaciskały się i otwierały. Nawet głęboko osadzone pod grubymi brwiami oczy wyglądały jak odlane z brązu.

Z ostrych, twardych rysów jego twarzy i dźwięcznych tonów niskiego głosu, dawało się odczytać stalową wytrzymałość, która nie zmniejszała się z latami.

- Norris i Blair zgadzają się co do jednego: zwierzę, które znaleźliśmy, nie pochodzi z Ziemi - powiedział. - Norris obawia się, że może w tym tkwić jakieś niebezpieczeństwo. Blair twierdzi, że nie ma żadnego.

Wróć jednak do tego, w jaki sposób i dlaczego znaleźliśmy to stworzenie. Zanim tu przybyliśmy, wydawało się, że punkt ten znajduje się dokładnie na południowym biegunie magnetycznym Ziemi. Igła kompasu skierowana jest prosto w dół, wszyscy o tym wiecie. Bardziej czułe przyrządy fizyczne, przyrządy sporządzone specjalnie na tę wyprawę w celu badania pola magnetycznego, wykryły dodatkowe oddziaływanie - dodatkowe i słabsze pole magnetyczne znajduje się około osiem - dziesięciu mil stąd na południowy zachód.

Druga Wyprawa wyruszyła, aby je zbadać. Nie ma potrzeby wchodzenia w szczegóły. Znaleźliśmy źródło, chociaż nie był to ani olbrzymi meteoryt, ani magnetyczna góra, którą Norris spodziewał się odkryć. Oczywiście, że ruda żelaza jest magnetyczna, żelazo bardziej, a niektóre specjalne rodzaje stali jeszcze bardziej. Z pomiarów powierzchniowych wynikało, że odkryty drugi biegun jest mały: tak niewielki, iż jego oddziaływanie magnetyczne ma wprost śmieszna wartość. Żadna ze znanych substancji magnetycznych nie oddziaływałaby w taki sposób. Sondowanie wykazało, iż pole znajduje się na głębokości stu stóp pod powierzchnią łądolodu.

Uważam, że powinniście wiedzieć, jak wygląda to miejsce. Van Wall mówi, że jest tam rozległy płaskowyż, równinna przestrzeń ciągnąca się na odległość ponad stu pięćdziesięciu mil dokładnie na południe od Drugiej Bazy. Nie miał czasu ani paliwa, by lecieć dalej, lecz stwierdził, że równina biegnie dokładnie na południe. Właśnie tam, gdzie to coś było ukryte, znajduje się grzbiet zatopionego pod lodem łańcucha górskiego - granitowy, niewzruszony mur, udaremniający ruch lodów napierających od południa.

Dokładnie czterysta mil stąd na południe znajduje się płaskowyż Bieguna Południowego. Pytaliście mnie przy różnych okazjach, dlaczego ociepla się tu, kiedy nasila się wiatr, i większość z was wie dlaczego. Jako meteorolog założyłem, że nie ma takiego wiatru, który mógłby wiać przy minus sześćdziesięciu stopniach, że tylko wiatr o prędkości mniejszej niż pięć mil mógłby wiać przy minus pięćdziesięciu, nie powodując ocieplenia wskutek tarcia o podłoże, śnieg, lód, no i o samo powietrze.

Przez dwanaście dni obozowaliśmy na krawędzi tej pogrążonej w lodzie góry. Wkopaliśmy obozowisko w głąb niebieskiego lodu, którego większość odparowaliśmy. Przez dwanaście dni z rzędu wiatr wiał z prędkością czterdziestu pięciu mil na godzinę. Wzrastała ona nawet do czterdziestu ośmiu, a czasami spadała do czterdziestu jeden. Temperatura wynosiła minus pięćdziesiąt trzy stopnie. Wzrastała do minus pięćdziesięciu i spadała do minus pięćdziesięciu ośmiu. Z meteorologicznego punktu widzenia było to niemożliwe, a trwało nieprzerwanie przez dwanaście dni i dwanaście nocy.

Gdzieś dalej na południu zmrożone powietrze z płaskowyża Bieguna Południowego ześlizguje się po lodowcu z tej liczącej osiemnaście tysięcy stóp czaszy do górskiej przełęczy, skąd kieruje się na północ. Musi istnieć jakiś lejowaty łańcuch górski, który kieruje je i porywa na odległość czterystu mil, aby ugodziło w ten otwarty płaskowyż, na którym odkryliśmy drugi biegun. Trzysta pięćdziesiąt mil dalej na północ powietrze dociera do Południowego Oceanu Lodowatego.

Ocean jest zamrożony od czasu, kiedy dwadzieścia milionów lat temu zamarzała Antarktyda. Nie było nigdy odwilży.

Antarktyda zaczęła zamarzać dwadzieścia milionów lat temu. Badaliśmy, myśleliśmy, spekulowaliśmy. Przypuszczamy, że stało się coś takiego:

Coś przyleciało z Kosmosu, jakiś statek. Widzieliśmy go tam, w niebieskim lodzie, coś w rodzaju łodzi podwodnej bez kiosku i sterów wysokości, o długości dwustu osiemdziesięciu stóp i średnicy czterdziestu pięciu w najgrubszym miejscu.

- No i co ty na to, Van Wall? Z Kosmosu?!

- Tak, ale dokładniej wyjaśnię to później - ciągnął McReady pewnym głosem.

- Statek przyleciał z przestrzeni, sterowany i unoszony dzięki siłom nie odkrytym jeszcze przez człowieka, i jakimś trafem - może coś się wówczas popsulo - wpadł w ziemskie pole magnetyczne. Przyleciał tu na południe, prawdopodobnie w sposób nie kontrolowany, okrążając biegun magnetyczny. To dzika kraina, ale gdy Antarktyda wciąż jeszcze zamarzała; musiała być tysiąc razy dziksza. Kiedy ląd ulegał zlodowaceni, powstawały tu śnieżne za-

miecie, wiry, zasy i opady świeżego śniegu. Trąby powietrzne musiały być szczególnie silne, a wiatr gęstym, białym całunem okrywał krawędź schowanej teraz góry.

Statek uderzył dziobem w potężny granitowy mur i roztrzaskał się. Nie wszyscy pasażerowie ponieśli śmierć, pojazd za to musiał ulec zniszczeniu, a mechanizm napędowy zablokowaniu. Norris przypuszcza, że statek dostał się w ziemskie pole magnetyczne. Żadne dzieło istot inteligentnych nie może dostać się we wpływ potężnych sił przyrody tej planety i nie ulec zniszczeniu.

Jeden z pasażerów wydostał się na zewnątrz. Prędkość wiatru, który tam przeżyliśmy, nigdy nie spadała poniżej czterdziestu jeden mil, a temperatura nigdy nie wzrastała powyżej minus pięćdziesięciu stopni. Wtedy wiatr musiał być jeszcze silniejszy. Pędzony wiatrem śnieg tworzył grubą pokrywę. Po zrobieniu kilku kroków stworzenie się zgubiło. - McReady przerwał na chwilę; głęboki, mocny głos ustąpił miejsca huczącemu w górze wiatrowi i niespokojnemu, złośliwemu bulgotaniu w kominie kuchennego pieca.

Nad głowami szalał wichur. Poderwany zawodzącym wiatrem śnieg mknął poziomymi, oślepiającymi smugami w poprzek frontowej części zakopanego obozu. Gdyby ktoś wyszedł z podziemnego korytarza łączącego poszczególne baraki pod śniegiem, zgubiłby się po zrobieniu kilku kroków. Na zewnątrz, na wysokość trzystu stóp wznosiła się w górę smukła, czarna szpila radiowego masztu, którego wierzchołek sięgał czystego nocnego nieba. Nieba; pod którym słaby, jęczący wiatr pędził jednostajnie z jednego krańca na drugi, pod osłoną wijącej się ognistym językiem zorzy polarnej. W oddali horyzont płonął dziwacznymi, wściekłymi kolorami brzasku o północy. Tak wyglądał świt na wysokości trzystu stóp nad Antarktydą.

Niżej panowała biała śmierć. Śmierć kłującego jak igły zimna, pchanego falą wiatru, wysysającego ciepło ze wszystkiego, co było ciepłe. Ziab i biała mgła wiecznie trwającej zamieci, drobinek pędzącego śniegu, który zaćmiewa wszystko.

Kinner, niewysoki kucharz o pełnej blizn twarzy, skrzywił się. Pięć dni temu wyszedł na powierzchnię, aby wydostać ukryty zapas zamrożonej wołowiny. Wyciągnął go i zaczął wracać, kiedy poczuł gwałtowny podmuch południowego, mrozącego śniegu wiatru. Zimna, biała śmierć, którą powiało po ziemi, oślepiła go po dwudziestu sekundach. Błądził w kółko jak oszalały. Dopiero po pół godzinie ubezpieczeni linami ludzie z obozu znaleźli go w nieprzebytych ciemnościach. Łatwo było człowiekowi - czy stworzeniu - zagubić się już po kilku krokach.

- Niosący śnieg wiatr był wtedy prawdopodobnie jeszcze bardziej niepokonany niż ten, który znamy. - Słowa McReady'ego ożywiły pamięć Kinnera. Przypomniał sobie powita-

nia, przejmująco wilgotne ciepło budynku administracyjnego. - Pasażer statku także nie był, jak się okazuje, do tych warunków przygotowany. Zamarzył w odległości dziesięciu stóp od statku.

Kopaliśmy przejście, aby dotrzeć do statku, i przypadkowo natknęliśmy się na zamrożone stworzenie. Barclay rąbnął je w czaszkę toporem do cięcia lodu.

Kiedy zobaczyliśmy, co to było, Barclay wrócił do parowego traktora, uruchomił go, i kiedy wzrosło ciśnienie pary, wezwał Blaira i doktora Coppera. Sam źle się wtedy poczuł. Rzeczywiście chorował przez trzy dni.

Kiedy zjawili się Blair i Copper, wycięliśmy bryłę lodu ze stworzeniem w środku, jak je widzicie, owinęliśmy ją i załadowali na traktor w drogę powrotną. Chcieliśmy jeszcze dostać się do tamtego statku.

Dotarliśmy do burty i odkryliśmy, że była z metalu, którego nie znamy. Nasze antymagnetyczne przyrządy ze stopu berylowego nie ruszyły go. Barclay miał w traktorze jakieś stalowe narzędzia, ale i one nawet go nie drasnęły. Przeprowadziliśmy odpowiednie testy, użyliśmy też kwasu z akumulatora, ale bez skutku.

Musieli przeprowadzić pasywację, aby uodpornić w ten sposób magnezowy metal na kwas. Stop zawierał co najmniej dziewięćdziesiąt pięć procent magnezu. Nie wiedzieliśmy jednak o tym, dlatego gdy zauważyliśmy otwartą komorę śluzową wjazdu, wycięliśmy ją naokoło. W jej wnętrzu, do którego nie mogliśmy się dostać, był tylko twardy lód. Przez małą szczelinę zajrzeliśmy do środka i zobaczyliśmy tam tylko metal i narzędzia. Dlatego zdecydowaliśmy się wrzucić lód za pomocą materiału wybuchowego.

Mieliśmy ładunku dekanitowe i termit, który działa na lód zmiękczająco. Dekanit mógłby zniszczyć cenne przedmioty, podczas gdy zar termitu stopiłby tylko lód. Doktor Copper, Norris i ja umieściliśmy dwudziestopięcioletni ładunek termitowy, założyliśmy przewody i zabraliśmy zapalnik aż na powierzchnię, gdzie czekał traktor parowy Blaira. W odległości stu jardów, po drugiej stronie granitowej ściany odstrzeliliśmy ładunek.

Magnezowy metal oczywiście się zapalił. Ogień wybuchu rozbłyskiwał i przygasał, po czym wybuchł płomieniem. Wróciliśmy biegiem do traktora. Oślepiające światło wzmagało się coraz bardziej. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, mogliśmy obserwować całe pole lodowe, iluminowane z dołu światłem jasnym nie do wytrzymania; cień statku kładł się ogromnym, ciemnym stożkiem, skierowanym na północ, gdzie mrok już mijał. Trwało to jeszcze przez chwilę. Naliczyliśmy trzy kolejne tajemnicze stwory, którymi mogli być zamrożeni pozostali pasażerowie. Następnie lód zaczął łamać się z trzaskiem i kruszyć o statek.

Dlatego właśnie opowiedziałem wam o tym miejscu. Wiatr, który miótł śniegiem z bieguna, mieliśmy za plecami. Płomienie pary i wodoru zostały rozdarte w białą lodową mgłę. Żarzące się pod lodem ciepło uchodziło w kierunku Południowego Oceanu Lodowatego, nim zdążyło nas osiągnąć. W przeciwnym razie nie wrócilibyśmy, pomimo osłony granitowego grzbietu.

Zdołaliśmy jakoś zobaczyć w tym oślepiającym piekle olbrzymie powyginane kształty, rozżarzone, czarne kolosy. Przez pewien czas wyrzucały one z siebie szalony żar magnezu. Wiedzieliśmy, że musiały to być silniki. Tajemnica pochłaniana przez żar - tajemnica, która oddałaby planety w ręce człowieka. Tajemnicze mechanizmy zdolne unieść ten statek i napędzać go. Tajemnica, wchłonięta przez potężne ziemskie pole magnetyczne. Zobaczyłem, jak Norris porusza wargami, i schyliłem głowę. Nie słyszałem, co mówi.

Puściła izolacja, czy coś takiego. Naruszone zostało całe ziemskie pole magnetyczne, które wchłonęło statek przed dwudziestoma milionami lat. Zorza na niebie spelzła i cały płaskowyż w tym miejscu skapał się w zimnym ogniu, który przyćmił wszystko. Topór rozpalił się w mojej dłoni do czerwoności i syczał krusząc lód. Metalowe guziki przy ubraniu stopiły się. Stalowoniebieski płomień wypalał granitowy mur od dołu ku górze.

Potem załamały się z hukiem lodowe ściany. Przez chwilę dał się słyszeć kruchy trzask, podobny do odgłosu suchego lodu prasowanego między przedmiotami z metalu.

Zostaliśmy oślepieni i godzinami chodziliśmy po omacku w ciemnościach, aż oczy wróciły nam do normy. Stwierdziliśmy, że w obrębie mili stopiły się doszczętnie wszystkie zwoje drutu, prądnice, odbiorniki radiowe, słuchawki, głośniki. Gdybyśmy nie mieli traktora parowego, nie przedostalibyśmy się do Drugiego Obozu.

Jak wiecie, o wschodzie słońca Van Wall przyleciał z Wielkiego Magnezu. Wróciliśmy do domu najszybciej, jak było można. Tak wygląda historia tego czegoś - McReady ruchem wielkiej, brązowej brody wskazał leżące na stole stwora.

2

Palilo się ostre światło. Blair poruszył się niespokojnie, wykręcając krótkie, kościste palce. Nieduże, brązowe piegi na ich kostkach przesuwaly się tam i z powrotem, gdy napinały się ścięgni pod skórą. Ściągnął na bok kawałek brezentu i niecierpliwie spoglądał na stwora wewnątrz ciemnego lodowego bloku.

Wielka postać McReady'ego wyprostowała się nieco. Prowadził dziś chybotliwy, zgrzytający traktor parowy przez czterdzieści mil, pędząc tu, do Wielkiego Magnezu. Usilne 'pragnienie ponownego obcowania z ludźmi zakłócało nawet jego spokój. Drugi Obóz znajdował się w odludnym, pustym miejscu, gdzie od strony bieguna dało się słyszeć wilcze wy-

cie wiatru. Wilczy wiatr nękał go nawet przez sen - wył, przywołując widok złej, ohydnej mordy potwora, który łypał na niego chytrze, kiedy zobaczył go po raz pierwszy przez przezroczysty, niebieski lód, z toporem wbitym w czaszkę.

- Problem polega na tym - przemówił olbrzymiego wzrostu meteorolog - że Blair chce zbadać to coś. Odmrozić, sporządzić preparaty mikroskopowe z jego tkanek i tak dalej. Norris nie uważa, aby to było bezpieczne, Blair natomiast tak. Doktor Copper niemalże zgadza się z Blairem. Norris jest oczywiście fizykiem, nie biologiem. Przedstawia jednak pogląd, który wszyscy powinni poznać. Blair opisał mikroskopijne formy życia, które według biologów istnieją nawet w tym zimnym i niegościnnym miejscu. Zamarzają każdej zimy, a odmarzają latem i żyją przez trzy miesiące.

Zdaniem Norrisa stwory te zamarzają i ożywają. Muszą w nich istnieć mikroskopijne formy życia. Tak się dzieje w przypadku każdej znanej nam istoty żywej. Norris obawia się wyzwolenia jakiejś zarazy - nieznanej na Ziemi choroby bakteryjnej - w przypadku rozmrożenia tych mikroskopijnych form, które pozostawały zamrożone przez dwadzieścia milionów lat.

Blair przyznaje, że taki mikroorganizm może zachowywać zdolność istnienia. Prymitywne formy, jak pojedyncze komórki, jeżeli są dokładnie zamrożone, zachowują życie przez długi czas. To zwierzę jest tak samo martwe jak znajduwane na Syberii zamarznięte mamuty. Zorganizowane, wysoko rozwinięte formy życia nie wytrzymują takiego zabiegu.

A mikroorganizmy tak. Norris podejrzewa, że moglibyśmy wyzwolić jakąś chorobę, z którą człowiek nigdy wcześniej się nie zetknął i dlatego byłby wobec niej całkowicie bezbronny.

Blair zaś uważa, że owszem, mogą istnieć takie wciąż żywe zarazki, ale że Norris odwraca sprawę. Człowiek jest na nie całkowicie odporny. Chemia naszego organizmu prawdopodobnie...

- Prawdopodobnie! - Biolog podniósł małą głowę szybkim, jak gdyby ptasim ruchem. Aureola siwych włosów wokół łysej głowy zmierzwiła się, jakby ze złości. - Ha! Wystarczy...

- Wiem - potwierdził McReady. - Ten stwór nie jest istotą ziemską. Nie wydaje się prawdopodobne, żeby skład chemiczny jego organizmu był na tyle podobny do naszego, aby możliwe było zarażenie. Uważam, że niebezpieczeństwo nie istnieje.

McReady spojrział na doktora Coppera. Lekarz wolno pokiwał głową.

- Nie ma żadnego - stwierdził pewnie. - Człowiek nie może zarażać drobnoustrojów ani być przez nie zarażany, jeżeli te są mu mniej więcej tak bliskie gatunkowo jak węże. Za-

pewniam was, że węże stoją znacznie bliżej nas niż ten stwór. - Jego starannie wygoloną twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas.

Vance Norris poruszył się gniewnie. W tym zgromadzeniu wysokich mężczyzn był raczej nieduży - miał około pięciu stóp i ośmiu cali wzrostu. Krępa, mocna budowa sprawiała, że wydawał się jeszcze niższy. Miał czarne, kędzierzawe, mocne włosy, podobne do krótkich stalowych drucików, szare oczy, barwą przypominające stal. Jeśli McReady był człowiekiem z brązu, to Norris był cały ze stali. Jego ruchy, myśli i zachowanie miały w sobie coś z szybkiego, mocnego impulsu stalowej sprężyny. Nerwy też miał stalowe - mocne, szybko reagujące i równie mało odporne na korozję jak stal.

Obstawał teraz przy swoich poglądach. Ostro ruszył do ich obrony, wybuchając w charakterystyczny dla siebie sposobem potokiem szybkich, urywanych słów.

- Do diabła z innym składem chemicznym! - zaczął. - Ten stwór może jest martwy albo i nie, na Boga! Ale on mi się nie podoba. Do licha, Blair, niech zobaczą tego potwora, którego tu hołubisz. Niech zobaczą tego cuchnącego stwora i sami zdecydują, czy chcą go rozmrozić w tym obozie. Jeśli chodzi o rozmrażanie... Trzeba to zrobić dzisiaj wieczorem, w jednym z baraków, jeśli się da. Ktoś... kto pełni straż dzisiejszej nocy? Magnetyczny... aha, Connant. Promieniowanie kosmiczne dziś w nocy... No cóż, będziesz musiał czuwać przy tej swojej mumii, która ma dwadzieścia milionów lat. Rozwiń to, Blair. Nie mogę przecież, do diabła, kupować kota w worku. To może mieć inny skład chemiczny. Nie wiem, co ma jeszcze, ale wiem, że jest w nim coś, czego nie kupię. Jeśli można sądzić po minie - stwór nie jest istotą ludzką, więc być może nie można - był zły, kiedy zamarzał. Ta złość w rzeczywistości wiernie odzwierciedla odczuwaną wtedy przez niego wariacką, obłąkańczą, szaloną nienawiść. Niech nikt z nas nie dotyka nawet tego obiektu.

Jak ci faceci, do diabła, mogą wiedzieć, za czym głosują?! Nie widzieli przecież tych trojga czerwonych oczu i tych niebieskich włosów podobnych do pełzających robaków. Pełzających, do diabła, to robactwo pełza teraz pod lodem!

Nic, co Ziemia kiedykolwiek zrodziła, nie pałało tak nieopisanie wysublimowanym, niszczycielskim gniewem, jak ten malujący się na twarzy stwora, który dwadzieścia milionów lat temu przyglądał się zmrożonemu dziełu zniszczenia. Furiat? Najwyraźniej tak - rozwścieczony, obłąkany szaleniec!

Do licha, odkąd patrzę na tych troje czerwonych oczu, miewam złe sny. Koszmary. Śni mi się, że stwór odtajał i ożył, że nie jest martwy ani też całkowicie nieświadomy tych wszystkich dwudziestu milionów lat, lecz tylko ośpiły i nadal wyczekujący. Ty także bę-

dziesięć śnił, a ten przeklęty stwór, do którego Ziemia nie przyznałaby się, będzie tymczasem topniał przez noc w Kosmicznym Domu.

- A ty, Connant - Norris skoczył w kierunku specjalisty od promieniowania kosmicznego - czyż nie będziesz z radością czuwał w ciszy przez całą noc? Wiatr będzie jęczał ponad twoją głową, a ten stwór ociekał wodą... - Przerwał na chwilę i rozejrzał się wokół.

- Wiem. To nie jest nauka. Ale to... to psychologia. Przez cały następny rok będą śniły ci się koszmary. Mnie śnił się od dnia, kiedy spojrzałem na tego stwora. I dlatego nienawidzę go, bez dwóch zdań, i nie chcę go tutaj. Odstaw go tam, skąd się wziął, i niech zamarznie na następne dwadzieścia milionów lat. Śniły mi się jakieś niesamowite koszmary, że on nie jest zrobiony tak jak my - co zresztą oczywiste - lecz ma innego rodzaju ciało, nad którym może faktycznie panować. Potrafi zmieniać kształty i wyglądać jak człowiek, czatować, by zabijać i jeść...

To nie jest logiczny argument. Wiem, że nie. Tak czy owak, nie ma w tym stworze ziemskiej logiki.

Być może jego ciało ma odmienny skład chemiczny. Możliwe, że i organizmy zarazków różnią się składem chemicznym. Zarazki nie wytrzymałyby tego. Ale... Blair, Copper, co sądzicie o wirusie? Mówiliście, że to zaledwie cząsteczka enzymu. Potrzebowałyby tylko cząsteczki białka, by funkcjonować.

A skąd macie tę pewność, że z miliona możliwych odmian mikroskopowych form życia żadna nie jest niebezpieczna? A co z chorobami takimi jak wodowstręt - wścieklizna, która atakuje każde ciepłokrwiste stworzenie bez względu na jego budowę chemiczną? A choroba papuzia? Czy twoje ciało podobne jest do ciała papugi, Blair? A zwykły rozkład - gangrena, obumieranie tkanek, jeśli chcesz? Te wszystkie choroby nie są wybredne, jeśli chodzi o skład chemiczny atakowanego organizmu!

Blair podniósł wzrok na Norrisa i napotkał jego złe, szare oczy.

- Do tej pory powiedziałeś tylko tyle, że stwór powoduje zaraźliwe sny. Powiedzmy, że ci to przyznam - stwierdził Blair. Zmarszczoną twarz niedużego mężczyzny przeszył szelmowski, trochę złośliwy grymas. - Sam miałem takich kilka. A zatem stwór zaraża snami. Niewątpliwie to nadzwyczaj niebezpieczna choroba.

Co się tyczy innych spraw, masz wyjątkowo błędne wyobrażenie o wirusach. Po pierwsze, nikt nie udowodnił, że teoria o enzymach i cząsteczkach wszystko wyjaśnia. Po drugie, poinformuj mnie, jeśli zarazisz się chorobą mozaikową albo rdzą zbożową. Pszenica jako roślina jest znacznie bliższa składem chemicznym twemu ciału aniżeli ten stwór z innego świata.

A twoja wścieklizna podlega ograniczeniom, ścisłym ograniczeniom. Nie możesz ani zarazić się nią od pszenicy czy ryby, ani jej im przekazać, pomimo że są równoległymi potomkami waszego wspólnego przodka. Przodka, którym ten stwór nie jest; Norris. - Blair skłonił się ironicznie w kierunku spoczywającej na stole, owiniętej brezentem masy.

- No dobrze, rozmroź to przekłete stworzenie w wannie z formaliną, skoro już musisz to zrobić. Zaproponowałem, aby...

- A ja powiedziałem, że to nie miałoby żadnego sensu. Tu nie ma miejsca na kompromis. Dlaczego przybyłeś tu razem z Komendantem Garrym, aby badać zjawisko magnetyzmu? Dlaczego nie zadowoliliś się pozostaniem w domu? W Nowym Jorku działa wystarczająca siła magnetyczna. Ja nie mógłbym badać istniejącego kiedyś w tym stworze życia posługując się zanurzoną w formalinie próbką, tak samo jak ty nie możesz uzyskać żądanych informacji w Nowym Jorku. A na dodatek, jeżeli potraktujesz stwora w taki sposób, nigdy już nie zdarzy się duplikat! Rasa, z której pochodzi, wyginęła zapewne w ciągu tych dwudziestu milionów lat kiedy był zamrożony. Jeśli więc nawet pochodzi z Marsa, nigdy nie znajdziemy takiego drugiego. No i nie ma statku.

Istnieje tylko jeden sposób, najlepszy z możliwych. Trzeba rozmrozić go powoli, ostrożnie, i nie w formalinie.

Komandor Garry znów wystąpił naprzód, a Norris cofnął się, mrużąc gniewnie.

- Sądzę, że Blair ma rację, panowie - oświadczył komandor. - Co wy na to?

- To wydaje się słuszne - mruknął Connant. - Może tylko on sam powinien stać i pilnować tego stwora, gdy będzie tajał. - Uśmiechnął się złośliwie, odrzucając z czoła pojedynczy kosmyk włosów koloru dojrzałej wiśni. - Świetny pomysł, swoją drogą, żeby tak czuwał przy tym cholernym małym trupku.

Garry uśmiechnął się delikatnie. Nad grupą przeleciały chichoty i szmer powszechnej aprobaty.

- Bez względu na to, jaki duch tkwiłby w tym stworze, zagłodziłby się na śmierć pozostając tutaj tak długo - rzucił Garry, zwracając się do Connanta. - A ty wyglądasz na osobę, która jest w stanie sobie z nim poradzić. Jako „człowiek z żelaza” powinieneś przecież wyeliminować wszystkie przeciwności.

Connant zadrżał zaniepokojony.

- Nie obawiam się duchów - powiedział. - Zobaczymy tego stwora. Ja...

Blair z zapalem zrywał sznurki. Jednym szarpnięciem odsłonił stwora. Lód w ciepłym pomieszczeniu roztopił się trochę, był przezroczysty i niebieski jak grube, solidne szkło. Lśnił wilgocią i połyskiwał w ostrym świetle nie osłoniętej żarówki.

Obecni zeszytnieli nagle. Stwór leżał na gładkich, śliskich deskach stołu twarzą do góry. Ułamana połowa topora wciąż tkwiła w dziwacznej czaszce. Troje szalonych, przepelnionych nienawiścią oczu płonęło żywym ogniem - jasnym jak świeżo rozlana krew. Płonęły w twarzy otoczonej wijącym się obrzydliwym rojem robactwa - sinych, poruszających się robaków, które pełzały tam, gdzie powinny rosnać włosy...

Van Wall, sześć stóp wzrostu i dwieście funtów wagi, pilot o stalowych nerwach, wydał dziwne westchnienie ze ściśniętego gardła i potykając się torował sobie drogę na korytarz. Połowa towarzystwa rzuciła się do drzwi. Reszta chwiejnym krokiem odsunęła się od stołu.

Z jednej strony stołu stał McReady i obserwował obecnych; jego potężne ciało wspierało się solidnie na masywnych nogach. Z drugiej strony Norris z odrazą i nienawiścią popatrywał na stwora. Za drzwiami Garry rozmawiał równocześnie ze wszystkimi.

Blair trzymał młot. Lodowy pancerz kruszył się z trzaskiem, ściskany w żelaznych kleszczach, które odzierały stwora z osłony, chroniącej go przez dwadzieścia milionów lat...

3

- Wiem, Connant, że nie podoba ci się ten stwór, ale on musi być należycie rozmrożony. Mówisz, żeby go zostawić, tak jak jest, aż do czasu naszego powrotu do cywilizacji. W porządku, zgadzam się z tobą, że tam moglibyśmy wykonać robotę lepiej i dokładniej. Tylko jak przedostać się z tym stworem przez równik? Musielibyśmy pokonać z nim jedną strefę umiarkowaną, jedną tropikalną i jeszcze zostałyby nam połowa drogi przez następną strefę, zanim dotarlibyśmy do Nowego Jorku. Nie chcesz pilnować go przez jedną noc, a proponujesz, bym powiesił jego zwłoki w zamrażarce razem z wołowiną? - Blair spojrzał w górę, kiwając zwycięsko łysą, piegowatą czaszką.

Kinner, krępy kucharz o pełnej blizn twarzy, wybawił Connanta z kłopotu udzielania odpowiedzi.

- Ej! Słuchaj no - zaczął. - Jeżeli wsadzisz to coś do pudła z mięsem, to ja, Bóg mi świadkiem, wsadzę tam ciebie, żebyś dotrzymywał mu towarzystwa. Wy, dranie, Wszystko, co się rusza w tym obozie, przywlekliscie i zwaliliscie na moje stoły i ja muszę to znosić. Ale jeśli tylko wsadzicie coś do mojego mięsa albo do schowka z żywnością, będziecie sobie sami gotować wasze cholerne żarcie!

- Ależ, Kinner, to jedyny stół w Wielkim Magnesie, który jest na tyle duży, żeby przy nim pracować - sprzeciwił się Blair. - Każdy już ci to tłumaczył.

- Jasne. I każdy wszystko tu ściąga. Clark znosi swoje psy po każdej bójce i zszywa je tu, na moim stole. Ralsen wciąga swoje sanie. Do diabła, tylko Boeinga jeszcze tu nie było!

Pewnie byście go wtaszczyli, gdyby udało się wam wymyślić sposób na przepchnięcie go przez korytarze.

Komendant Garry zachichotał i wykrzywił się w stronę olbrzymiego Van Walla, pierwszego pilota. Wielka jasna broda Van Walla poruszyła się podejrzliwie, gdy przytaknął z powagą Kinnerowi.

- Masz rację - powiedział. - Jedynie lotnictwo traktuje cię właściwie.

- Rzeczywiście robi się tu ciasno, Kinner - przyznał Garry. - Ale obawiam się, że wszyscy czasem to odczuwamy. W antarktycznym obozie nie ma miejsca na samotność.

- Samotność? A cóż to takiego, do diabła? Widzisz, tak naprawdę do łez wzruszył mnie Barclay, który przedefilował tędy podśpiewując: „Ostatni kawał drewna w obozie! Ostatni kawał drewna w obozie!” Wynosił je, aby zbudować sobie sracz na traktorze. Niech to diabli, bardziej brakowało mi tego serduszka wyciętego w drzwiach, które wynosił, aniżeli widoku zachodzącego słońca. Barclay zabierał nie tylko ostatnią deskę. Porywał z tego przeklętego miejsca resztkę intymności.

Kiedy Kinner znów zaczął swoje wieczne, nieszkodliwe gderanie, grymas uśmiechu pojawił się nawet na wielkiej twarzy Connanta. Uśmiech zgasł jednak, gdy Connant zwrócił swe szare, głęboko osadzone oczy w stronę czerwonoookiego stwora, z którego Blair obłupywał lodowy kokon. Duża dłoń Connanta zmierzwiła sięgające ramion włosy i charakterystycznym ruchem założyła opadający kosmyk za ucho.

- Jeśli przyjdzie mi pilnować tego stwora, zdaję sobie sprawę, że będzie tu za ciasno - warknął Connant. - Dlaczego nie rozbijasz dalej lodu? Zapewniam cię, że możesz to robić i nikt nie będzie się wtrącał, a potem możesz nawet powiesić tego stwora nad kotłem parowym. Starczy ciepła. Rozmroziłoby ono natychmiast kurczaka, a w ciągu kilku godzin nawet cały płat wołowiny.

- Wiem - sprzeciwił się Blair i opuścił młot, aby skuteczniej uchwycić go w kościste, piegowate palce. Zapał naprężył jego drobne ciało. - Jednak to zbyt ważne, żeby podejmować jakiegokolwiek ryzyko. Nigdy przedtem nie znaleziono czegoś takiego i być może nigdy więcej się to nie zdarzy. To jedyna okazja; jaka kiedykolwiek trafiła się człowiekowi, i należy ją dobrze wykorzystać.

Posłuchaj. Czy wiesz, że ryby, które złowiliśmy niedaleko Morza Rossa, zamarzyłyby prawie natychmiast po wyciągnięciu ich na pokład i ożyły ponownie, gdybyśmy rozmrozili je delikatnie? Szybkie zamrażanie i powolne odmrażanie nie zabijają niższych form życia. Ma-my...

- Ej, na miłość boską, mówisz, że ten przeklęty stwór ożyje! - wrzasnął Connant. - I ty tego cholernego stwora... Dopuść mnie do niego! Będzie w tylu kawałkach, że...

- Nie! Nie, ty durniu! - Blair skoczył przed Connanta, aby osłonić swoje cenne znalezisko. - Nie! Tylko niższe formy życia. Na litość boską, daj mi skończyć. Nie można odmrażać wyższych form życia i przywracać ich do istnienia. Zaczekaj chwilę, zrozumiemy! Ryba może ożyć po zamrożeniu, ponieważ stanowi na tyle nieskomplikowany organizm, że reaktywowanie pojedynczych komórek wystarcza, aby ożyła. Wszystkie wyższe formy, odmrożone w ten sposób, pozostają martwe. Mimo ożywiania pojedynczych komórek giną, ponieważ aby istniało życie, musi wystąpić współdziałanie całego organizmu. Tego współdziałania nie da się przywrócić. W każdym nie uszkodzonym, poddanym szybkiemu zamrożeniu zwierzęciu istnieje swego rodzaju utajone życie. Jednak w żadnych warunkach nie może zostać przywrócone życie istot wyższych. Są one zbyt delikatne, a ich budowa zbyt skomplikowana. Tutaj mamy istotę inteligentną, stojącą na tak wysokim szczeblu swej ewolucji jak my w ewolucji naszego gatunku. A być może wyżej. Istota ta jest również martwa, jak byłby martwy zamrożony człowiek.

- Skąd wiesz? - spytał Connant, wążąc w ręce chwycony przed chwilą topór do lodu.

Komendant Garry, powstrzymując go, położył mu dłoń na mocnym ramieniu.

- Chwileczkę, Connant - rzucił. - Chcę powiedzieć wprost. Zgoda, że nie będzie się rozmrażać tego stwora, jeśli jest najmniejsza szansa jego powrotu do życia. Przyznaję, że jest to stwór zbyt nieprzyjemny, aby mieć go tu żywego. Nie przypuszczałem, że może istnieć taka możliwość.

Doktor Copper wyciągnął fajkę spomiędzy zębów i dźwignął swoje krępe, śniade ciało z pryczy, na której siedział.

- Blair mówi zbyt fachowo - przyznał. Stwór nie żyje. Jest tak samo martwy jak znajduwane na Syberii zamrożone mamuty. Życie utajone to jak energia atomowa - jest wewnątrz, ale nie można jej wyzwolić i z pewnością nie wyzwoli się sama. Pomińmy przypadki tak rzadkie jak rad w chemii. Mamy wszelkiego rodzaju dowody na to, że stworzenia zamrożone tracą życie - ryby także - i żadnego dowodu na to, że zwierzęta wyżej zorganizowane mogą zachować życie. O co chodzi, Blair?

Biolog wzdrygnął się. Stercząca wokół jego łysej głowy mała kreza włosów zafalowała na znak uzasadnionego gniewu.

- Chodzi o to... - powiedział obrażonym tonem - że pojedyncze komórki mogą zachować cechy, które posiadały za życia, jeżeli rozmrozi się je w odpowiedni sposób. Komórki mięśni ludzkich żyją jeszcze wiele godzin po śmierci człowieka. Po prostu żyją - a włosy czy

paznokcie rosną jeszcze dłużej. Mimo to nie oskarżałbyś chyba zwłok, że są trupem przywróconym do życia za pomocą czarnoksiężskich praktyk czy czymś takim.

Zatem, jeżeli rozmrozę stwora odpowiednio, może uda mi się określić, skąd pochodzi. Nie wiemy i nie możemy wiedzieć, czy wziął się z Ziemi, z Marsa, z Wenus czy w ogóle z gwiazd.

Nie musisz oskarżać go o złość, nienawiść albo coś jeszcze dlatego tylko, że jest niepodobny do człowieka. Być może ten jego wyraz twarzy oznacza rezygnację wobec losu. Biel to dla Chińczyka kolor żałoby. Skoro nawet ludzie mają różne obyczaje, to dlaczego tak odmienna rasa nie mogłaby inaczej interpretować mimiki twarzy?

Connant zaśmiał się cicho i ponuro.

- Spokojna rezygnacja! - jęknął. - Jeżeli to wszystko, co pokazuje jego twarz, oddaje rezygnację, okropnie bym nie chciał jej oglądać, gdyby wyrażała obłąkanie. Ta twarz nie została stworzona, aby wyrażać spokój. Jej struktura nie przewidywała odbijania tak filozoficznych nastrojów.

Wiem, że to twój pupil, ale zachowaj rozsądek. Ten stwór rósł na złej glebie, doroślał smażąc żywcem na wolnym ogniu niewinne istoty - tamtejszy odpowiednik naszych kociąt - a w wieku dojrzałym zabawiał się wymyślaniem coraz to bardziej wyrafinowanych tortur.

- Nie masz najmniejszego prawa tak mówić - wypalił Blair. - Skąd możesz wiedzieć, jakie było pierwotne znaczenie wyrazu twarzy charakterystycznego dla istot nieludzkich? Równie dobrze może on nie mieć żadnego odpowiednika w świecie ludzi. To po prostu natura, to jej odmienny rozwój, kolejny przykład wspaniałej umiejętności przystosowania. Wzrastając w innym, być może w twardszym świecie, osobnik uzyskuje inną postać i inne cechy. Ale jest tak samo prawowitym dzieckiem natury jak i ty. Wykazujesz dzieciinną, ludzką słabość do nienawidzenia wszystkiego, co odmiennie. On w swym świecie prawdopodobnie zaklasyfikowałby ciebie jako brzuchacza, białego potwora ze zbyt małą liczbą oczu i z grzybowatym ciałem - bładym i nadmuchanym powietrzem jak balon.

Nie masz żadnego prawa mówić, że stwór jest uosobieniem zła tylko dlatego, że jest inny.

- Ha! - Norris wydał pojedynczy, nagły jak wybuch okrzyk.

- Istoty z innych światów może i nie muszą być złe dlatego, że są odmiennie - powiedział, spoglądając na stwora. - Ale on jest! Dziecko natury, co? Niczego sobie musiała to być natura.

- Przestaliście wreszcie, frajerzy, naskakiwać na siebie i może zabralibyście tego przeklętego stwora z mojego stołu? - warknął Kinner. - I przykryjcie go brezentem. Wygląda nieprzyzwoicie.

- Kinner stał się skromny - zadrwił Connant.

Kinner spojrział zezem na postawnego fizyka. Pokryty bliznami policzek skrzywił się, aby połączyć się w grymasie z linią zaciśniętych ust.

- W porządku, wielkoludzie, ale po diabła tak zrzędziłeś przed minutą? Jeśli chcesz, możemy na noc posadzić stwora obok ciebie, na krześle.

- Nie boję się jego twarzy - warknął Connant. - Niespecjalnie podoba mi się czuwanie przy trupie, ale zrobię to.

Grymas przestał wykrzywiać twarz Kinnera. Kucharz podszedł do kuchennego pieca i energicznie pogrzebał w popielniku, przykrywając popiołem kruchy odłamek lodu - owoc roboty Blaira.

ROZDZIAŁ 4

„Gdak”, szcęknął licznik promieniowania kosmicznego, „gdak, wrrr, gdak”. Connant drgnął i upuścił ołówek.

- Cholera! - krzyknął fizyk i spojrział w przeciwny róg, na umieszczony na stole licznik Geigera. Wczołgał się pod pulpit, przy którym pracował, aby podnieść ołówek. Zasiadł z powrotem do pracy, starając się pisać wyraźnie. Jednak jego pismo było drżące i nierówne.

Licznik Geigera wydawał urywane dźwięki, podobne do napuszonego gdakania kury. Przytłumiony szum włączonej lampy, którą sobie przyświecał, zlewający się z odgłosami chrapania i gwizdami wydawanymi przez kilkunastu mężczyzn śpiących w Rajskim Domu w dalszej części korytarza, stanowiły tło dla nieregularnych pogdakiwań licznika i hurkotu węgla podrzucanego od czasu do czasu do wyłożonego miedzianą blachą pieca. A do tego jeszcze ciche „kap, kap, kap” ze spoczywającego w kącie stwora.

Connant wyszarpnął z kieszeni paczkę papierosów, stuknął w nią tak, że jeden papieros się wysunął, po czym wepchnął go sobie do ust. Popsuła mu się zapalniczka, więc grzebał ze złością w stosie papierów w poszukiwaniu zapalek. Kilkakrotnie pokręcił jeszcze kółkiem zapalniczki, następnie rzucił ją z przekleństwem i wstał, aby szczypcami wyciągnąć z pieca rozżarzony węgiel.

Zapalniczka zadziałała natychmiast, gdy wróciwszy do pulpitu podniósł ją i znów wypróbował. Licznik wypuł z siebie serię gdaczących parsknięć, w chwili gdy przeniknęły przezeń promienie kosmiczne. Connant obrócił się, spojrział na niego groźnie i próbował

skoncentrować się na interpretacji danych zgromadzonych w ciągu minionego tygodnia. Tygodniowe zestawienie...

Poddał się jednak, ulegając ciekawości albo zdenerwowaniu. Wziął z pulpitu zapaloną lampę i przeniósł ją na stół w kącie. Wrócił do pieca i chwycił szczypce do węgla. To bydle rozmrażało się już prawie osiemnaście godzin. Szturchnął je z podświadomą ostrożnością. Ciało nie było już twarde jak metalowy pancerz, przybrało konsystencję kauczuku. Wyglądało jak wilgotna niebieska guma, lśniąca pod kropelkami wody, podobnymi w oślepiającym świetle benzynowej lampy do małych okrągłych klejnotów. Connant poczuł bezrozumne pragnienie wylania zawartości zbiornika lampy na stwora w lodowej osłonie i wrzucenia do środka niedopałka papierosa. Troje czerwonych oczu popatrzyło na niego martwo. W rubinowych gąbkach odbijały się promienie mrocznego, zadymionego światła.

Niejasno zdał sobie sprawę, że przygląda im się już bardzo długo. Zrozumiał nawet mgliście, że oczy te przestały być ślepe. To jednak wydawało się bez znaczenia, równie nieważne jak mozolny, ślamazarny ruch macek wyrastających z kościstej powoli pulsującej szyi.

Connant podniósł lampę i wrócił na krzesło. Siedział wpatrując się w kartki z obliczeniami, które miał przed sobą. Dziwne, ale gdakanie licznika stało się znacznie mniej dokuczliwe, a hurkot węgla w piecu już nie rozpraszał uwagi.

Skrzypienie podłogi za plecami Connanta nie przerwało mu pracy, kiedy przebiegał swój tygodniowy raport, wypełniając go kolumnami danych i sporządzając zwięzłe, syntetyczne notatki.

Skrzypienie podłogi dało się słyszeć bliżej.

5

Blair wydobył się nagle z przesładujących go w głębokim śnie koszmarów. Zamajaczyła nad nim twarz Connanta. Przez chwilę wydawało się, że trwa jeszcze dziki horror ze snu. Na obliczu Connanta malowała się złość i lekkie przerażenie.

- Blair! Blair! Ty przeklęta kłodo, obudź się!

- Co? - Biolog przecierał oczy, zginając kościste, piegowate palce w koślawą pięść dzieciennych rozmiarów. Z sąsiednich prycz podniosły się inne głowy, aby popatrzeć na nich.

- Wstawaj, no, podnieś się! - Connant wyprostował się. - Twoje cholerne zwierzę uciekło!

- Uciekło? Co takiego?! - ryknął pierwszy pilot Van Wall byczym głosem, od którego zatrzęsły się ściany. Nagle w korytarzach rozległy się wrzaski. Kilkunastu mieszkańców Rajskiego Domu wtargnęło na oślep do środka; krępy, okrągły jak bulwa Barclay w długich, wełnianych kalesonach, trzymał w ręku gaśnicę.

- Co się dzieje, do diabła?! - spytał.

- Twoje parszywe bydlę uciekło. Gdzieś dwadzieścia minut temu zasnąłem, a kiedy się obudziłem, stwora nie było. Ej, doktorcu, mówiłeś do licha, że te istoty nie mogą ożyć. Przekłete utajone życie, o którym opowiadał Blair, wykrzesало z siebie piekielnie dużo energii i poszło sobie.

Copper gapił się tępo w przestrzeń.

- Ono nie było ziemskie - powiedział nagle, wzdychając. - Chyba... chyba ziemskie prawa nie mają tu zastosowania.

- Otóż stwór chciał mieć wolne i ma. Musimy go odszukać i schwytać. - Connant zaklął siarczyście. Jego głęboko osadzone, czarne oczy patrzyły ponuro i ze złością. - To cud, że ta diabelska kreatura nie pożarła mnie, gdy spałem.

Blair odwrócił wzrok, a w jego wyblakłych oczach odbił się nagły strach. - A może on... Musimy go odnaleźć - wymamrotał.

- Sam go będziesz szukał. To twój pupilek. Mnie wystarczy siedzenie tam z nim przez siedem godzin. Licznik gdał co kilka sekund, a wy, dranie, śpiewaliście wasz nocny koncert. To cud, że zasnąłem. Idę do budynku administracyjnego.

Komandor Garry pojawił się w drzwiach, zaciskając pas.

- Nie będziesz musiał - powiedział. - Ryk Vana brzmiał jak huk startującego pod wiatr Boeinga. A więc stwór nie był martwy?

- Zapewniam cię, że nie wyniosłem go na rękach - warknął Connant. - Ostatnie, co widziałem, to jak jego rozpołowiona czaszka wydzielala zieloną, lepka maź, niczym rozgnieciona gąsienica. Doktorek stwierdził właśnie, że nasze prawa w tym przypadku nie działają - to nie jest ziemski stwór. To nieziemski potwór o nieziemskim charakterze, jeśli sędzić po wyrazie jego twarzy, umiejętności włączenia się z rozwaloną czaszką i sączącym się mózgiem.

W drzwiach stanęli Norris i McReady. Wejście zapełniało się stopniowo kolejnymi dygoczącymi ludźmi.

- Czy ktokolwiek widział przechodzącego stwora? - spytał naiwnie Norris. - Około czterech stóp wzrostu, troje czerwonych oczu, wyciekający mózg. Ej tam, a sprawdził ktoś, czy to nie idiotyczny dowcip? Jeśli tak jest, myślę, że wspólnymi siłami przywiążemy pupilka Blaira do szyi Connanta, tak jak w opowieści o albatrosie i Sędziwym Marynarzu.

- To nie jest dowcip. - Connant zadrżał. - O Boże, żałuję, że tak nie jest! Wołałbym nosić... - tu przerwał. Korytarze przeszył dziki, nieziemski ryk. Wszyscy nagle zeszywnieli i odwrócili się.

- Chyba go mamy - dokończył Connant. Oczy miał rozbiegane i dziwnie niespokojne. Popędził z powrotem do Rajskiego Domu, do swojej pryczy, i prawie natychmiast wrócił z ciężką czterdziestką piątką oraz toporem do lodu. Ważąc je w rękach ruszył w stronę korytarza prowadzącego do Psiego Obozu. - Stwór wlaźł przez pomyłkę do złego korytarza i wylądował wśród huskych. Słyszycie? Psy pozrywały się z łańcuchów.

Niemal paniczne wycie sfory przeszło w skowyt dzikiego pościgu. W wąskich korytarzach dudniło szczekanie psów, przez które przebijał się zduszony, mrukliwy warkot czystej nienawiści. I nagle pisk bólu, jękliwy skowyt kilkunastu zwierząt.

Connant rzucił się do drzwi. Tuż za nim biegł McReady. Wkrótce dołączyli do nich Barclay i Komandor Garry. Pozostali popędzili do budynku administracji i po broń do szopy na sanie. Pomroy, opiekun pięciu krów w Wielkim Magnesie, ruszył w głąb korytarza w przeciwnym kierunku - przypomniał sobie o widłach z długimi zębami, na kiju długości sześciu stóp.

Barclay zatrzymał się w ślizgu, gdy olbrzymie cielsko McReady'ego skrzyknęło nagle z korytarza prowadzącego do Psiego Obozu i zniknęło za zakrętem. Mechanik, z gaśnicą w rękach, wahał się przez chwilę, niezdecydowany, w którą stronę iść, lecz wkrótce pędził już za Connantem. Cokolwiek wymyślił McReady, można było mieć do niego zaufanie.

Connant zatrzymał się na zakręcie korytarza.

- O wielki Boże - wydarł mu się nagle z gardła syczący szept.

Rewolwer wypalił z hukiem. Ciasne korytarze przeszły trzy głucho, gęste fale dźwięku. I jeszcze dwie. Rewolwer upadł na ubity śnieg. Barclay spostrzegł, że Connant zasłania się toporem. Na chwilę jego potężne ciało przesłoniło mu widok, usłyszał jednak obrzydliwe miauczenie i szaleńczy chichot. Psy nieco się uspokoiły; w ich przytłumionym warczeniu była śmiertelna powaga. Wysuniętymi pazurami drapały ubity śnieg. Pozrywane łańcuchy brzęczały i plątały się.

Connant przesunął się gwałtownie i Barclay mógł zobaczyć to coś w dole. Zamarł na chwilę jak zmrożony. Potem odetchnął i siarczyście zaklął. Stwór rzucił się na Connanta. Potężne ramiona mężczyzny zamachnęły się, celując najpierw płaską stroną topora w coś, co mogło być ręką. Zachrząściło okrutnie. Postrzępione ciało, rozszarpane przez pół tuzina dzikich psów, znów skoczyło na nogi. Czerwone oczy płonęły ogniem nieziemskiej nienawiści, obcą, niezniszczalną żywotnością.

Barclay skierował na nie gaśnicę. Oślepiający, pęcherzykowy strumień rozpylanej substancji chemicznej zaskoczył stwora i powstrzymał go. Dołączyły się do tego bezlitosne ataki huskych, które nie bały się już niczego, co żyło albo jeszcze mogło żyć.

McReady odepchnął zagradzających mu przejście i skierował ich do wąskiego korytarza nabitego ludźmi, którzy nie byli w stanie przedostać się na teren walki. Był to początek zaplanowanego wcześniej ataku. W brązowych rękach McReady trzymał gigantyczny palnik używany do rozgrzewania silników samolotowych. Palnik ryknął gwałtownie, kiedy McReady, skręciwszy za róg korytarza, otworzył zawór. Oszalałe, obrzydliwe miauczenie przeszło w głośny syk. Psy cofnęły się gwałtownie przed trzystopową laną ognia.

- Bar! Przynieść kabel elektryczny i podłącz go tu jakoś. I jeszcze uchwyt. Porazimy śmiertelnie tego potwora prądem, jeżeli go wcześniej nie spopielę. - McReady mówił z powagą człowieka prowadzącego zaplanowaną akcję. Barclay skręcił w głąb długiego korytarza. Przed nim pędzili już Norris i Van Wall.

Barclay znalazł kabel w skrytce z urządzeniami elektrycznymi umieszczonej w ścianie korytarza. Przez pół minuty nacinał izolację nożem, po czym ruszył z powrotem. Głos Van Walla zagrział ostrzegawczo: „Uwaga! Prąd!”, a awaryjna prądnica benzynowa zaskoczyła z głuchym łomotem. Tam na miejscu było teraz dużo ludzi. Węgiel opałowy wędrował do komory ogniowej paleniska elektrowni parowej. Norris, przeklinając niskim, monotonnym głosem, manipulował szybko i pewnie przy drugim końcu kabla trzymanego przez Barclaya, łącząc go z jednym z przewodów zasilających.

Kiedy Barclay doszedł do zakrętu korytarza, psy cofały się przed rozszalałym potworem, którego czerwone oczy złowrogo raziły oślepiającym światłem, obrzydli - wie miauczającym z podstępą nienawiścią. Skapane w czerwoności pyski psów z obwódkami świecących bielą zębów tworzyły półkole. Husky skowyczały z nienawiścią i zjadliwą żądzą, dorównującą niemal furii czerwonych oczu. McReady, ufny w swe siły, stał w pogotowiu na zakręcie korytarza, swobodnie trzymając w rękach syczący palnik. Kiedy zjawił się Barclay, McReady odsunął się na bok nie odrywając oczu od bestii. Na jego szczupłej twarzy z brązu dał się zauważyć delikatny, ściągnięty uśmiech.

W głębi korytarza odezwał się głos Norrisa. Barclay zrobił krok do przodu z kablem umocowanym taśmą do długiego kija od łopaty do śniegu. Oba przewody były rozdzielone osiemnastocalowym kawałkiem drewna umocowanym w poprzek końca uchwytu. Nie izolowane miedziane przewody, pod napięciem dwustu dwudziestu wolt, migotały w świetle włączonej lampy. Stwór zamiauczał obrzydliwie, zatrzymał się i odskoczył. McReady przysunął się bliżej Barclaya. Psy wyczuły jego zamiar z niemal telepatyczną inteligencją tresowanych huskych. Ich skowyt stał się jeszcze przenikliwszy, a zarazem jakby spokojniejszy. Zbliżyły się, drobno przebierając łapami. Nagle olbrzymi, czarny jak sadza pies skoczył na schwytanego w pułapkę stwora. Ten zaczął wrzeszczeć, szarpiąc go szponami jakby ciał pałaszem.

Barclay skoczył do przodu i zadał cios. Rozległ się niesamowity, przeraźliwy krzyk i - nagle zdławiony - umilkł. Korytarzem poniósł się smród spalonego ciała. Kłębił się tłusty dym. Odbijający się echem łomot benzynowej prądnicy przeszedł w głuchy szum.

Czerwone ślepie w sztywniejącej, targanej drgawkami parodii twarzy zasnuły się mgłą. Niby-ręce i niby-nogi drżały i dygotały. Psy skoczyły do przodu, a Barclay odrzucił broń. Leżący na śniegu stwór nie poruszał się, gdy lśniące zęby rozszarpały go na strzępy.

6

Garry rozejrzał się po zatłoczonym pomieszczeniu, w którym znajdowało się trzydziestu dwóch mężczyzn. Jedni w nerwowym napięciu stali pod ścianą, inni byli niepokojąco odprężeni, niektórzy siedzieli, inni z konieczności stali, ściśnięci jak śledzie. Było ich trzydziestu dwóch oraz pięciu zajętych zszywaniem rannych psów - razem trzydziestu siedmiu, czyli pełen skład.

- W porządku. Jesteśmy tu chyba wszyscy - zaczął Garry. - Niektórzy spośród was, najwyżej trzech lub czterech, widzieli, co się stało. Wszyscy zaś widzieli tego stwora, jak leżał na stole, i mają ogólne o nim wyobrażenie. Nikt nie widział... podniosę... - Jego dłoń powędrowała w kierunku brezentu okrywającego szczątki. Spod niego wydobywał się gryzący odór spalonego ciała. Obecni poruszyli się niespokojnie, jakby chcieli gorączkowo zaprotestować.

- Wygląda na to, że Charnauk nie poprowadzi już żadnego zaprzęgu - ciągnął Garry. - Blair chciałby dostać się do stwora i przeprowadzić nieco bardziej szczegółowe oględziny. Chcemy wiedzieć, co się stało, i upewnić się, że teraz potwór jest już absolutnie i na zawsze martwy. Zgoda?

- Kto się sprzeciwia, może go popilnować dzisiejszej nocy - zaproponował ze złośliwym uśmiechem Connant.

- W porządku, więc co możesz o nim powiedzieć, Blair? Co to było? - Garry zwrócił się do niewysokiego biologa.

- Zastanawiam się, czy w ogóle widzieliśmy go w prawdziwej postaci - powiedział Blair, spoglądając na przykrytą brezentem masę. - Być może upodobnił się do istot, które zbudowały statek, ale nie sądzę, aby tak było. Myślę, że widzieliśmy jego autentyczną postać. Ci spośród nas, którzy byli przy zakręcie korytarza, zobaczyli stwora w akcji. To co leży na stole - to jej wynik. Kiedy potwór się oswobodził, pewnie zaczął rozglądać się naokoło. Antarktyda była wciąż zamrznięta, jak przed wiekami, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy i zamarznął. Z moich obserwacji dokonanych podczas jego odmarzania, jak i na podstawie wyciętych przeze mnie, a potem spreparowanych fragmentów tkanek wynika, że stwór pochodził z

cieplejszej planety niż Ziemia. W swej naturalnej postaci nie był w stanie znieść tak niskiej temperatury. Nie ma takiej formy życia na Ziemi, która mogłaby przetrwać zimę na Antarktydzie, ale najlepiej przystosowany jest pies. Stwór odnalazł psy i w jakiś sposób zbliżył się na tyle do Charnauka, aby go osiągnąć. Zwierzęta poczuły to, usłyszały, nie wiem dokładnie co; w każdym razie rozwścieczyły się, zerwały z łańcuchów i zaatakowały stwora, zanim ten skończył się przeistaczać. To co znaleźliśmy, było w części Charnaukiem, tylko dziwnie, na pół martwym, w części Charnaukiem na pół pochłoniętym jakby przez galaretowatą protoplazmę tej istoty i w części resztkami odkrytego przez nas pierwotnie stwora, jakby roztopionego w pierwotną protoplazmę.

Zaatakowany przez psy, przeistoczył się w najlepiej walczące stworzenie, jakie mógł sobie wyobrazić. W bestię z innego świata, oczywiście.

- Przeistoczył się - powiedział sucho Garry. - W jaki sposób?

- Każda żywa istota składa się z galaretowatej protoplazmy i z drobnitkich supermikroskopijnych ciał zwanych jądrami, które zawiadują masą protoplazmy. Ten stwór stanowił po prostu odmianę tego samego powszechnie obowiązującego ładu Natury - systemu komórek, składających się z protoplazmy i kontrolowanych przez nieskończenie mniejsze jądra. Wy, fizycy, moglibyście porównać pojedynczą komórkę jakiegokolwiek istoty żywej do atomu. Masa atomu w części wypełniającej przestrzeń, składa się z orbitujących elektronów, lecz charakter cząstki określa jądro atomu.

Nie jest to coś, co gwałtownie wykraczałoby poza naszą dotychczasową wiedzę. To tylko modyfikacja, z którą przedtem się nie zetknęliśmy. Jest równie naturalna i równie logiczna jak każda inna forma życia. Podlega dokładnie takim samym prawom. Komórki składają się z protoplazmy, a ich rodzaj określa jądro.

Tyle tylko, że u tej istoty jądro komórkowe może sterować komórkami dowolnie. Stwór wchłonął Charnauka i w trakcie tego procesu analizował każdą komórkę jego tkanek, kształtując własne komórki na ich dokładne podobieństwo. Część z nich - te, które zdążyły zakończyć przemiany - to komórki psa. Ale nie zawierają one jąder z komórek psa. - Blair podniósł kawałek brezentu. Wystawała spod niego rozszarpana psia łapa pokryta sztywną, spopielałą sierścią. - To na przykład wcale nie jest pies, to tylko upodobnienie. Co do innych części ciała mam wątpliwości. Właściwe jądro pozostało w ukryciu, przysłonięte jądrem upodobnionym do jądra komórkowego psa. Po pewnym czasie już nawet mikroskop nie wykazałby różnicy.

- A założymy, że stwór miałby bardzo dużo czasu? - spytał z goryczą Norris.

- Wówczas stałby się psem. Pozostałe zwierzęta dałyby się na to nabrać. I my również. Nie wydaje mi się, aby można go było jakimś sposobem odróżnić: czy przy użyciu mikroskopu, czy też posługując się promieniami Rentgena. Należy do rasy stojącej najwyżej pod względem inteligencji: rasy, która poznała najgłębsze sekrety biologii i zastosowała je w praktyce.

- Co zamierzał uczynić? - spytał Barclay, spoglądając na wygięty brezent.

Blair skrzywił się w nieprzyjemnym uśmiechu. Powiewająca wokół jego łysej głowy aureola rzadkich włosów zadrżała w powietrzu.

- Zapanować nad światem - powiedział.

- Zapanować nad światem?! Tak po prostu, i to samodzielnie? - Connant odetchnął ciężko. - Ustanowić siebie jedynym władcą?

- Nie - potrząsnął głową Blair: Skalpel, którym bawił się w kościstych palcach, wypadł mu z rąk. Biolog schylił się, aby go podnieść. - Stałby się ludnością świata - powiedział, skrywając twarz.

- Stałby się... zaludniłby świat? Czy on rozmnaża się bezpłciowo?

- Jest... on nie musi - Blair potrząsnął przecząco głową i odchrząknął. - Ważył osiemdziesiąt pięć funtów. Charnauk - około dziewięćdziesięciu. Gdyby przeistoczył się w Charnauka, zostałoby mu osiemdziesiąt pięć funtów, aby stać się, na przykład Jackiem albo Chinoikiem. On może upodabniać się do wszystkiego, to znaczy stać się czymkolwiek. Gdyby dotarł do Południowego Oceanu Lodowatego, stałby się foką, może dwiema fokami. Zaatakowałyby one być może orkę i przeistoczyły się albo w orki albo w stado fok. Lub też upolowałyby albatrosa czy rybitwę i pofrunęły do Ameryki Południowej.

Norris zaklął pod nosem.

- To znaczy, że ilekroć coś wchłaniał, upodabniał się do tego czegoś - powiedział. - Zachowywał swoją pierwotną masę, aby zaczynać od nowa - skończył Blair. - Nic nie mogłoby go uśmiercić. On nie ma żadnych wrogów w przyrodzie, ponieważ staje się tym, czy chce się stać. Zaatakowany przez orkę przeobraziłby się w orkę. Gdyby był albatrosem, zaatakowany przez orła, stałby się orłem. Mógłby stać się nawet samicą orła. Wrócić, zbudować gniazdo, złożyć jaja!

- Jesteś pewien, że ten piekielny stwór jest martwy? - spytał cicho doktor Copper.

- Dzięki Bogu tak - westchnął z ulgą niski biolog. - Kiedy już odpędzono psy, stałem tam i przez pięć minut dźgałem go tym elektrycznym przyrządem Barclaya. Jest martwy i usmażony.

- Pozostaje nam tylko dziękować, że to Antarktyda, gdzie nie ma ani jednego żywego stworzenia - poza zwierzętami w obozie - do którego mógłby się upodobnić.

- A my? - Zachichotał Blair. - Może upodobnić się do nas. Psy, z braku pożywienia, nie pokonają czterystu mil dzielących nas od morza. O tej porze roku nie ma rybitw. Tak daleko w głębi lądu nie ma też pingwinów. Nikt poza nami nie jest w stanie dotrzeć z tego miejsca do morza. My mamy mózgi i potrafimy to zrobić. Czy nie rozumiecie, że on musi upodobnić się do nas? Musi stać się jednym z nas - to jedyny sposób, żeby mógł polecieć samolotem, lecieć samolotem przez dwie godziny. Zapanować nad wszystkimi mieszkańcami Ziemi. Może podbić świat, jeżeli upodobni się do nas!

Ale stwór tego nie wiedział. Nie miał okazji się dowiedzieć. Działał szybko, w pośpiechu - upodobnił się do tego, co miało podobny rozmiar. Patrzcie: jestem Pandorą i otworzyłem puszkę. A my możemy mieć tylko tę nadzieję, że nic się nie ukaze. Nie widzieliście mnie. Ja to zrobiłem. Ustawiłem. Rozwaliłem wszystkie iskrowniki. Nie polecą żaden samolot. Nic nie polecą - zachichotał Blair i z krzykiem padł na podłogę.

Pierwszy pilot Van Wall dał nura w drzwi. W korytarzach jak echo zanikały już odgłosy jego kroków, kiedy doktor Copper bez pośpiechu nachylił się na leżącym na podłodze małym człowieczkiem. Przyniósł coś z szafki z lekarstwami w końcu pomieszczenia i wstrzyknął Blairowi lekarstwo w rękę.

- Przejdzie mu, jak się obudzi - westchnął, podnosząc się. McReady pomógł mu przenieść biologa na pryczę. - Wszystko zależy od tego, czy zdołamy go przekonać, że stwór nie żyje - dodał Copper.

Van Wall wskoczył do baraku, głaszcząc z roztargnieniem swą gęstą, jasną brodę.

- Nie sądziłem, że biolog mógłby to zrobić dokładnie. Zapomniał o częściach zapasowych w drugim schowku, ale wszystko w porządku. Ja je rozwaliłem - powiedział.

- Zastanawiam się, co z radiem - pokiwał głową komandor Garry.

Doktor Copper parsknął.

- Nie sądzisz chyba, że można to przekazać drogą radiową? Jeśli zaprzestasz nadawania, w ciągu najbliższych trzech miesięcy będziesz tu miał pięć wypraw ratunkowych. Trzeba nadawać głośno i ani słowa o tym. Teraz zastanawiam się...

McReady spojrział w zamyśleniu na doktora. - To może być coś podobnego do choroby zakaźnej. Jeśli ktokolwiek zetknie się z odrobiną krwi tego stwora...

- Blair zapomniał o jednym. - Copper potrząsnął przecząco głową. - Stwór może do pewnego stopnia upodobnić się do czegoś, ale ma przecież częściowo własną strukturę chemiczną organizmu i własny metabolizm. Gdyby tak nie było, stałby się psem - psem i niczym

więcej. Musi być tylko upodobniony do psa. Można to wykryć za pomocą badania krwi. Budowa chemiczna stwora jako istoty z innego świata musiałaby być całkowicie, radykalnie odmienna, aby na kilka komórek w kroplach krwi ciało psa albo człowieka zareagowało jak na zarazki chorobotwórcze.

- Krew... czy któreś z tych upodobnień krwawiłoby? - spytał Norris.

- Oczywiście. Krew nie jest czymś tajemniczym. Mięsień - to w około dziewięć - dziesięciu procentach woda; krew różni się od niego tylko tym, że zawiera kilka procent wody więcej, a mniej tkanki łącznej. Krwawienie z pewnością by wystąpiło - zapewnił Copper.

- Connant! Gdzie jest Connant? - spytał nagle Blair, usiadłszy na pryczy.

- Jestem tu. Czego chcesz? - Fizyk przesunął się w stronę biologa.

- Czyżbyś to był ty? - zachichotał Blair i opadł z powrotem na pryczę, z twarzą wykrzywioną milczącym śmiechem.

- Co? Czym miałbym być? - Connant spojrział na niego tępo.

- Jesteś tam? - Blair wybuchnął salwą śmiechu. - Czy jesteś Connantem? To bydlę chciało być człowiekiem, a nie psem...

7

Doktor Copper wstał ciężko z pryczy i dokładnie umył strzykawkę. Jej delikatne dzwonięcie wydawało się głośne w zatłoczonym wnętrzu, zwłaszcza że rechotliwy śmiech Blaira uciszył się wreszcie.

- Obawiam się, że to beznadziejne - powiedział doktor, spoglądając na Garry'ego. - Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek zdołali go przekonać, że stwór nie żyje - pokiwał przecząco głową.

- Nie jestem pewien, czy zdołasz przekonać mnie. A niech cię diabli, McReady. - Norris śmiał się bez przekonania.

- McReady? - Komandor Garry przesunął zaciekawiony wzrok z Norrisa na McReady'ego.

- Nocne koszmary - wyjaśnił Norris. - Miał swoją teorię na temat snów, które miewaliśmy w Drugiej Stacji po odkryciu stwora.

- Cóż to za teoria? - Garry spojrział wprost na McReady'ego.

- Taka, że stwór nie był martwy, lecz żył niezmiernie powolnym życiem. Jego egzystencja pozwalała mu jednak odczuwać jakoś upływ czasu i nasze przybycie po latach, które płynęły bez końca. Śniło mi się, że potrafi upodabniać się do innych istot - odpowiedział za niego Norris urywanym, niespokojnym głosem.

- No, cóż - mruknął Copper - rzeczywiście potrafi.

- Nie bądź głupcem - wypalił Norris. - Zresztą nie to mnie niepokoi. We śnie stwór mógł odczytywać czyjeś zamiary, myśli, poglądy, sposoby zachowania.

- A cóż w tym złego? Wydaje mi się, że martwi cię to bardziej aniżeli zabawa, jaką będziemy tu mieli z tym obłąkanym. - Copper kiwnięciem głowy wskazał śpiącego Blaira.

McReady potrząsała ociężale swą wielką głową. - Wiesz, że Connant jest Connantem, ponieważ nie tylko wygląda jak Connant - zaczynamy już wierzyć, że stwór mógł też to osiągnąć - ale myśli jak Connant, mówi jak Connant, porusza się tak jak Connant. To, że wygląda jak Connant, nie dotyczy tylko ciała, ale i jego umysłu, sposobu myślenia i zachowania. Dlatego jeśli nawet wiesz, że potwór mógłby stać się podobny do Connanta, nie powinno cię to specjalnie niepokoić. Wiesz, że umysł ma z innego świata - całkowicie nieludzki umysł, który w żaden sposób nie pozwalałby mu reagować, myśleć i mówić tak, jak to czyni człowiek, i to, na tyle dobrze, aby nas choć przez moment okpić. Pomysł, że stwór naśladuje kogoś z nas, jest fascynujący, ale nierealny.

- Jak już powiedziałem - powtórzył Norris, uparczywie wpatrzony w McReady'ego - możesz mówić najgorsze rzeczy o najgorszej porze. Może byłbyś jednak tak dobry i dokończył myśl, tak lub inaczej?

Kinner, kucharz wyprawy o twarzy porytej bliznami, stał obok Connanta. Nagle przecisnął się przez zatłoczone pomieszczenie w kierunku swej kuchni. Z hałasem wybrał popiół z pieca.

- Na nic by mu się zdało jedynie wyglądać jak coś, co by próbował naśladować - powiedział doktor Copper tak cicho, jakby myślał na głos. - Musiałby zrozumieć uczucia i reakcje tej istoty. Stwór jest przecież nieludzki. Ma zdolności naśladowcze wykraczające poza ludzkie wyobrażenie. Dobry aktor, w wyniku ćwiczeń, może naśladować drugiego człowieka, jego sposób zachowania na tyle dobrze, żeby zwieść większość ludzi. Ale żadnemu aktorowi nie udałoby się naśladować kogoś tak doskonale, aby oszukać tych, którzy mieszkają razem z naśladowanym w antarktycznym obozie całkowicie pozbawionym intymności. Wymagałoby to nieosiągalnej umiejętności.

- Czyżbyś też się zaraził? - westchnął Norris.

Stojący samotnie w drugim końcu pomieszczenia Connant patrzył na niego błędnym wzrokiem. Twarz mu pobladła. Z wolna przesuwający się krąg ludzi przepchnął się powoli w przeciwny koniec. Connant stał nadal samotnie.

- Na litość boską, moglibyście się już zamknąć, wy dwaj prorocy? - głos Connanta drżał. - Pytacie, kim jestem? Mikroskopowym preparatem, który poddajecie badaniu? Jakimś paskudnym robakiem, o którym rozprawiacie w trzeciej osobie?

McReady podniósł wzrok. Dłonie, splatane powolnym ruchem, znieruchomiały na chwilę.

- Rozkosznie się bawimy - zakpił. - Szkoda, że cię tu nie ma. Podpisane: wszyscy. Jeśli sądzisz, Connant, że przeżywasz diabelnie ciężkie chwile, postaw się na moment w naszej sytuacji - zaproponował. - Masz nad nami jedną przewagę: wiesz, jak jest naprawdę. Powiem ci: jesteś teraz człowiekiem budzącym największy strach i jednocześnie najbardziej szanowanym w Wielkim Magnesie.

- O Boże, żałuję, że nie możecie zobaczyć waszych oczu - westchnął Connant. - Przeście się gapić, dobrze! Co, do diabła, macie zamiar zrobić?

- Doktorze Copper, czy masz jakieś propozycje? - spytał stanowczo komandor Garry. - Obecna sytuacja jest nie do zniesienia.

- Ach, czyżby? - rzucił oschle Connant. - Podejź tu i spójrz na ten tłum. Na Boga! Oni wszyscy wyglądają dokładnie tak, jak tamta sfera huskich na zakręcie korytarza. Benning, czy możesz przestać podrzucać ten przeklęty topór do lodu?

Miedziane ostrze topora zadzwoniło o podłogę, gdy mechanik z lotnictwa nerwowo wypuścił go z rąk. Schylił się, by natychmiast go podnieść. Spokojnie ważył w dłoniach narzędzie i obracał je, obrzucając wszystkich szybkimi spojrzeniami brązowych oczu.

Copper usiadł na pryczy obok Blaira. Głośno zaskrzypiały deski. Gdzieś daleko w korytarzu skowyczał z bólu pies. Dolatywały nerwowe głosy poganiaczy zwierząt.

- Badanie mikroskopowe - odezwał się zamyślony doktor - byłoby, jak zauważył Blair, bezcelowe. Minęło już sporo czasu. Jednak próba krwi rozstrzygnęłaby sprawę.

- Próba krwi? Co konkretnie masz na myśli? - spytał komandor Garry.

- Jeżeli nieco krwi ludzkiej wstrzyknąć królikowi (to dla królika oczywiście trucizna, podobnie jak i krew każdego innego zwierzęcia poza nim samym), a potem wstrzyknięcia powtarzać przez jakiś czas, zwiększając dawkę, królik uodporni się na krew ludzką. Jeżeli pobrać od niego niewielką ilość krwi - wystarczającą do otrzymania czystej surowicy - i dodać trochę krwi ludzkiej, nastąpi wyraźna reakcja, świadcząca o tym, że krew dodana pochodziła od człowieka. Jeżeli dodano by krwi krowy lub psa lub jakiegokolwiek substancji białkowej innej aniżeli krew ludzka, nie wystąpiłaby żadna reakcja. Dowód byłby ostateczny.

- Czy wskażesz mi, gdzie mógłbym złapać dla ciebie królika, doktoru? - spytał Norris. - To znaczy gdzieś bliżej niż w Australii. Nie chcielibyśmy tracić czasu, udając się aż tak daleko.

- Wiem, że na Antarktydzie nie ma królików - Copper pokiwał głową - ale chodzi przecież o zwierzę. Nadaje się każde zwierzę z wyjątkiem człowieka, choćby pies. Tylko, że

potrwa to kilka dni, a ze względu na większe rozmiary zwierzęcia wymaga znacznej ilości krwi. Dwóch z nas musi oddać krew.

- Może ja? - spytał Garry.

- To już jest dwóch - skinął głową Copper. - Od razu zabieram się do roboty.

- A co zrobimy teraz z Connantem? - spytał Kinner. - Prędzej wyszedłbym stąd i ruszył w kierunku Morza Rossa, niż miałbym dla niego gotować.

- On może być jednak człowiekiem... - zaczął Copper. Connant wybuchnął stekiem przekleństw.

- Człowiekiem! - krzyknął. - Być może! Ty cholerny, pieprzony konowale! A kim, do diabła, jestem według ciebie?

- Potworem - rzucił ostro Copper. - A teraz zamknij się i słuchaj. - Connant pobrał śmiertelnie na twarzy i usiadł ciężko, kiedy padły słowa oskarżenia. - Dopóki się nie upewnimy - wiesz równie dobrze, jak my, że mamy powód do podejrzeń i tylko ty znasz na nie odpowiedź - możesz się po nas spodziewać, że weźmiemy cię pod klucz, co będzie w pełni uzasadnione. Jeżeli nie jesteś istotą ludzką, to będziesz o wiele bardziej niebezpieczny niż ten biedak Blair, a dopilnuję, żeby go dokładnie zamknięto. Przypuszczam, że w następnym stadium oblędu zapragnie gwałtownie zabić ciebie, wszystkie psy i prawdopodobnie nas wszystkich. Kiedy się obudzi, będzie pewien, że nie jesteśmy ludźmi, i za nic w świecie nie zmieni tego przekonania. Byłoby łaskawiej pozwolić mu umrzeć, ale oczywiście nie możemy tego zrobić. Pójdzie do jednego baraku, a ty zostaniesz w Kosmicznym Domu ze swoim aparatem do pomiaru promieniowania. I tak byś się nim zajmował. Ja muszę teraz zająć się paroma psami.

- Jestem człowiekiem. - Connant z goryczą skinął głową. - Pośpieszcie się z tym testem. Wasze oczy, o Boże, żałuję, że nie możecie zobaczyć własnych oczu, jak się tak gapią...

Komandor Garry z niepokojem obserwował opiekuna psów Clarka, który trzymał dużego brązowego husky'ego, gdy Copper przystępował do zastrzyku. Pies nie był zbyt spokojny: ukłucie igły bolało, a tego ranka przeszedł już poważny zabieg - pięć szwów zamknęło ranę biegnącą od grzbietu w poprzek żeber aż do połowy ciała. Jeden z długich kłów był odłamany. Brakującą część znaleziono wbity w kość grzbietu ohydny stwora ze stołu w Budynku Administracyjnym.

- Jak długo to potrwa? - spytał Garry, ujmując delikatnie swe przedramię. Było podrażnione od pobierania krwi.

- Szczerze mówiąc nie wiem - Copper wzruszył ramionami. - Znam metodę; stosowałem ją na królikach. Nie przeprowadzałem doświadczeń na psach. To zbyt duże i ciężkie

zwierzęta jak na tego rodzaju eksperymenty. Zazwyczaj służą do nich króliki. W cywilizowanych miejscach można kupić od dostawców całą kolonię uodpornionych na krew ludzką królików, toteż niewielu badaczy zadaje sobie trud przygotowywania własnych zwierząt doświadczalnych.

- Co oni z nimi robią? - spytał Clark.

- Jedna rozległa dziedzina to kryminologia. A twierdzi, że nie zamordował B, a ślady krwi na jego koszuli pochodzą od zabitej kury. Policja przeprowadza test, po którym do A należy wytłumaczenie, jak to się dzieje, że krew z koszuli reaguje na krew królików uodpornionych na krew ludzką, a w przypadku uodpornionych na krew kury - nie.

- Co zrobimy na razie z Blairem? - spytał natarczywie Garry. - Wszystko jest w porządku, kiedy śpi tam, gdzie jest, ale co będzie, kiedy się obudzi...

- Barclay i Benning zakładają zasuwę w drzwiach do Kosmicznego Domu - odparł ponuro Copper. - Connant zachowuje się jak dżentelmen. Być może sposób, w jaki patrzy na niego cała reszta; sprawia, że raczej pragnie odosobnienia. Bóg jeden wie, jak przedtem każdy z nas modlił się o trochę samotności.

- O nie, dziękuję! Za dużo szczęścia na raz. - Clark zaśmiał się gorzko.

- Blair także będzie musiał mieć samotność... i dobre zamki - ciągnął swoje Copper. - Kiedy się obudzi, będzie miał już całkiem gotowy plan. Słyszeliście kiedyś o znakomitym sposobie zwalczania nosacizny u bydła?

Jeżeli nie pojawia się choroba pyska i racic, to się i nie pojawi - wyjaśnił Copper. - A jeżeli się pojawiła, to można się jej pozbyć zabijając wszystkie zwierzęta, u których występują objawy, i wszystkie te, które stykały się z chorymi. Blair jest biologiem i zna ten sposób. Boi się tego stwora, który się nam wymknął. Prawdopodobnie widzi całkiem jasne rozwiązanie - zabić wszystkich i wszystko, co żyje w tym obozie, zanim przyleci tu z wiosną jakaś rybitwa albo zabłąkany albatros i zarazi się.

Usta Clarka wykrzywił szydery grymas.

- To brzmi dla mnie logicznie - powiedział. - Jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, być może lepiej będzie, jeśli pozwolimy Blairowi wydostać się na swobodę. Uchroniłoby nas to od popełnienia samobójstwa: Powinniśmy również złożyć jakieś ślubowanie, że jeżeli sprawy potoczą się źle, dopilnujemy, żeby tak się naprawdę stało.

Copper zaśmiał się cicho. - Ostatni człowiek, jaki ostałby się przy życiu w Wielkim Magnesie, nie byłby człowiekiem - zauważył. - Ktoś będzie musiał zabić tych, którzy nie będą chcieli zabić się sami. Nie mamy na tyle termitu, aby zrobić to za jednym razem, a dekani-

towy materiał wybuchowy nie przyda się tu specjalnie. Myślę, że niewielkie nawet cząstki którejs z tych istot okazałyby się samowystarczalne.

- Jeżeli potrafią dowolnie modyfikować własną protoplazmę, czy nie mogłyby po prostu zmienić się w ptaki i odlecieć? - spytał po namyśle Garry. - Mogą wiedzieć wszystko na temat ptaków i naśladować ich budowę nawet bez kontaktu z nimi. Albo też upodobnić się do ptaków ze swojej macierzystej planety.

Copper potrząsnął głową i pomógł Clarkowi wypuścić psa.

- Człowiek od wieków obserwował ptaki, chcąc na ich podobieństwo zbudować maszynę do latania - powiedział doktor. - Nigdy tej sztuki nie posiadał. Końcowy sukces osiągnął wtedy, gdy całkowicie oderwał się od pierwotnego zamiaru i spróbował nowego podejścia. Poznanie ogólnej zasady, a poznanie szczegółowej budowy skrzydła, kości i tkanki nerwowej, to dwie zupełnie różne rzeczy. A co do ptaków pochodzących z innego świata, jest bardzo prawdopodobne, że tutejsze warunki atmosferyczne są tak dalece odmienne, iż uniemożliwiłyby im latanie. Być może stwór pochodzi z planety podobnej do Marsa, planety gdzie atmosfera jest tak rozrzedzona, że nie ma tam w ogóle ptaków.

Do budynku wszedł Barclay, ciągnąc za sobą długą samolotową linkę sterowniczą.

- Skończone, doktorku. Kosmicznego Domu nie da się już otworzyć od wewnątrz. Gdzie umieścimy Blaira? - spytał.

- Nie mamy przecież budynku biologii - powiedział Copper, patrząc w stronę Garry'ego. - Nie wiem, gdzie można go odizolować.

- Co sądzisz o wschodnim schowku? - zaproponował Garry po chwili namysłu. - Czy Blair będzie w stanie sam się sobą zająć, czy będzie wymagać opieki?

- Poradzi sobie. My będziemy tylko mieli na niego oko - zapewnił Copper ponuro. - Weź piecyk, kilka worków z węglem, potrzebne zapasy i trochę narzędzi, aby to wszystko zainstalować. Nikt tam przecież nie był od ostatnich opadów.

- Jeśli on zacznie hałasować - Garry skinął głową - myślę, że to będzie dobry pomysł.

Barclay podrzucał w dłoniach przyniesione przez siebie narzędzia. Spojrzał na Garry'ego.

- Sądząc po obecnym mamrotaniu, w nocy będzie tak zawodził godzinami - powiedział. - A nam nie spodoba się ta pieśń.

- Co on gada? - spytał Copper.

- Nie wsłuchiwałem się za bardzo - Barclay potrząsnął głową. - Jak chcesz, to sam posłuchaj. Zrozumiałem tyle, że temu przekłętemu idiocie przyśniło się to samo co McReady'emu albo jeszcze więcej. Nie zapominajcie, że kiedy zatrzymaliśmy się po drodze z Dru-

giego Magnetycznego, on spał obok potwora. Śniło mu się, że stwór żyje i jeszcze kilka szczegółów. A na dodatek wiedział albo miał powody się domyślać, że nie wszystko było snem. Wiedział, że stwór ma pewne zdolności telepatyczne i że potrafi nie tylko odczytywać czyjeś zamiary, ale także wysyłać myśli. To nie były sny, jak widać. To były oderwane myśli, które stwór przekazywał w taki sposób, jak obecnie nadaje swoje myśli Blair.

Rodzaj telepatycznego mamrotania przez sen. Dlatego Blair tak dużo wiedział o zdolnościach stwora. Wydaje mi się, że jeśli wierzyć w telepatię, my, doktoru, nie byliśmy aż tak wrażliwi.

- Ja muszę w nią wierzyć - westchnął Copper. - Doktor Rhine wykazał, że telepatia istnieje. Udowodnił również i to, że niektórzy są na nią bardziej podatni od innych.

- No cóż, jeśli chcesz poznać więcej szczegółów, idź i posłuchaj transmisji Blaira. Wygonił już większość chłopaków z budynku administracji; Kinner dzwoni garnkami jak spadający zsysem węgiel. A jak nie dzwoni, to wytrząsa popiół.

- Acha, szefie, a co zrobimy na wiosnę, skoro samoloty jako transport odpadają?

- Obawiam się, że nasza ekspedycja skończy się fiaskiem - westchnął Garry. - Nie możemy się teraz rozdrabniać.

- Nie skończy się fiaskiem, jeżeli przeżyjemy i wyjedziemy stąd - obiecał Copper. - Odkrycie, którego dokonaliśmy, jeśli zdołamy nad nim zapanować, jest wystarczająco ważne. Prace nad badaniem promieniowania kosmicznego, pola magnetycznego i atmosfery nie ulegną zahamowaniu.

Garry zaśmiał się ponuro.

- Pomyślałem właśnie o transmisjach radiowych - powiedział. - O poinformowaniu połowy świata o wspaniałych wynikach naszych lotów badawczych, o próbie oszukania tamtych, takich jak Byrd i Ellsworth, że w ogóle coś robimy.

- Zorientują się, że coś nie tak. - Copper z powagą pokręcił głową. - Ludzie tacy, jak oni mają wystarczająco wiele rozumu, aby wiedzieć, że nie uciekaliśmy się do wybiegu bez przyczyny. Zaczekają do naszego powrotu, żeby nas osądzić. Myślę, że wszystko sprowadza się do tego: ci, którzy wiedzą na tyle dużo, aby odkryć nasze; szachrajstwo, czekają, aż wrócimy. Ci, którzy nie mają na tyle rozsądku i zaufania; aby czekać, nie mają też i doświadczenia, które pozwoliłoby im wykryć oszustwo. Znamy się wystarczająco dobrze na panujących tu warunkach, żeby sprzedać dobrą blagę. ‘

- Oby tylko nie wysłali ekspedycji ratunkowych - jęknął Garry. - Kiedy, jeśli w ogóle, będziemy mogli się stąd wydostać, będziemy musieli przekazać wiadomość kapitanowi For-

sythe'owi, aby wybierając się tutaj zabrał ze sobą zapas iskrowników. Zresztą nie ma o czym mówić.

- Chciałeś powiedzieć: jeśli się stąd nie wydostaniemy? - spytał Barclay. - Zastanawiałem się, czy pomogłaby nam ładna relacja radiowa z jakiejś erupcji wulkanu lub trzęsienia ziemi z bombowym zakończeniem, dzięki lasce dekanitu umieszczonej pod mikrofonem. Ludzi oczywiście nigdy nie da się całkowicie odstraszyć. Któraś z tych melodramatycznych scen w rodzaju „ostatni-żywy-człowiek” mogłaby równie łatwo nakazać im wyruszyć.

- Czy wszyscy w obozie tak to sobie wyobrażają? - Garry uśmiechnął się ze szczerą wesołością.

- Co ty na to, Garry? - Copper roześmiał się. - Jesteśmy pewni wygranej. Ale nie będzie o nią tak łatwo.

- Powiedziałeś: pewni, doktoru? - skrzywił się w uśmiechu Clark, który głaskał właśnie psa, aby go uspokoić.

8

Blair chodził nerwowo po wnętrzu niewielkiej budy. Rzucił przelotne, urywane i niepewne spojrzenia na czterech towarzyszących mu mężczyzn. Byli to: Barclay - sześć stóp wzrostu i ponad sto dziewięćdziesiąt funtów wagi, McReady - olbrzym z brązu, doktor Copper - niski, ale krepny, potężny, i Benning - pięć stóp, dziesięć cali stalowej siły.

Blair przycupnął skulony pod przeciwległą ścianą wschodniego schowka. Narzędzia zwalone na kupę pośrodku podłogi obok pieca ogrzewczego tworzyły wysepkę oddzielającą uwięzionego od czterech przybyłych. Panicznie wystraszony, dygocząc nerwowo, biolog zaciskał kościste dłonie. Wyblakłe oczy migotały niespokojnie, a łysa, piegowata głowa poruszała się szybko, jak u ptaka.

- Nie chcę, żeby tu ktokolwiek przychodził. Sam będę sobie gotował - rzucił szorstko i nerwowo. - Kinner może być sobie człowiekiem, ale ja w to nie wierzę. Zamierzam wydostać się stąd i nie będę jadł tego, co mi przyślecie! Chcę konserwy. Zamknięte puszki.

- W porządku, Blair. Przyniesiemy ci je dziś wieczorem - obiecał Barclay. - Masz węgiel, a ogień już się rozpała. - Barclay ruszył naprzód. - Jeszcze tylko...:

Blair natychmiast popędził w najdalszy kąt.

- Wynoś się! - krzyknął. - Trzymaj się ode mnie z daleka, ty potworze! - Mały biolog wrzeszczał, próbując wydrapać dziurę w ścianie budy. - Trzymaj się ode mnie z daleka! Nie zbliżaj się! Nie dam się wchłonąć. Nie dam...

Barclay cofnął się.

- Zostaw go, Bar. - Doktor Copper potrząsnął głową. - Będzie mu łatwiej uporać się z tym samemu. Myślę, że musimy zaryglować drzwi.

.Czterech mężczyzn skierowało się do wyjścia. Benning i Barclay zabrali się wprawnie do pracy. Na Antarktydzie nie używano zamków - nie były potrzebne. Jednak po obu stronach futryny drzwi wkręcono masywne śruby, a między nimi przeciągnięto naprężoną samolotową linkę sterowniczą. Barclay przystąpił do pracy ze świdrem i piłą otwornicą. Niebawem wyciął w drzwiach klapę, po odchyleniu której można było podawać potrzebne rzeczy bez rozmontowywania całego zabezpieczenia. Trzy potężne zawiasy wyjęte ze skrzyni dostawczej, dwa skoble i podwójne trzyczalowe zawlecзки zabezpieczyły ją przed otwarciem od wewnątrz.

Blair poruszał się nerwowo po wnętrzu. Przeciągnął coś w stronę drzwi ciężko dysząc i mamrocząc zapamiętałe jakieś szalone przekleństwa. Barclay otworzył klapę i zajrzał do środka. Doktor Copper spoglądał mu przez ramię. Blair przesunął ciężką pryczę pod drzwi. Teraz bez jego udziału nie można będzie ich otworzyć.

- Nie wiem, czy ten biedak nie ma racji - westchnął McReady. - Jeżeli wydostanie się na zewnątrz, będzie dążył do zabicia nas wszystkich możliwe jak najszybciej, a my nie mamy na to ochoty. Ale po naszej stronie drzwi jest ktoś jeszcze gorszy niż szalony morderca. Jeżeli któryś z tych dwóch miałby wydostać się na swobodę, wtedy ja rozwalę te wszystkie zabezpieczenia.

- Dasz mi znać, a pokażę ci, jak je szybko, zdjąć - uśmiechnął się Barclay. - Wracajmy - rzucił.

Słońce, chociaż już od dwóch godzin znajdowało się poniżej linii horyzontu, wciąż malowało północny widnokrąg wszystkimi kolorami tęczy. Połacie nawianego śniegu przesunęły się w kierunku północnym i pod łukiem płonących barw iskrzyły się milionem odbitych blasków. Niskie, okrągłe, białe kopce na północnym horyzoncie pozwalały zauważyć, że Góry Magnetyczne ledwie wystają ponad rozległą śnieżną płaszczyznę. Małe wiry podrywającego wiatrem śniegu ześlizgiwały się z nart, kiedy zmierzali w stronę odległego o dwie mile głównego obozowiska. Cienka jak pajęczka nić kratownica masztu radiowego wznosiła się chudą, czarną iglicą na tle bieli antarktycznego ładu. Śnieg pod nartami przypominał drobny piasek o twardych ziarenkach.

- Przyszła wiosna - powiedział z goryczą Benning. - Ale mamy uciechę! Tak czekałem, żeby się wydostać z tej przeklętej lodowej dziury...

- Na twoim miejscu teraz bym nie próbował - mruknął Barclay. - Faceci, którzy wyruszą stąd w ciągu najbliższych kilku dni, nie będą zbyt popularni.

- Jak się miewa twój pies, doktorze Copper? - spytał McReady. - Czy są już jakieś wyniki?

- Po trzydziestu godzinach? Dobrze by było. Zrobiłem mu dzisiaj zastrzyk z mojej własnej krwi. Przypuszczam, że będę potrzebował jeszcze z pięć dni. Za mało wiem na pewno, żeby skończyć wcześniej.

- Zastanawiam się, czy Connant - gdyby uległ przemianie - ostrzegłby nas zaraz po ucieczce stwora? Czy nie czekałby, aż stwór miałby realną szansę się zestalić? Dopóki nie obudzilibyśmy się sami - spytał wolno McReady.

- Stwór jest egoistą. Nie sądzisz chyba, że wyglądał na obdarzonego poczuciem jakiejś wyższej sprawiedliwości? - zapytał doktor Copper. - Każda jego część stanowi całość, całość samą dla siebie. Gdyby Connant uległ przemianie; musiałby tak postąpić, chcąc ratować własną skórę. Ale uczucia Connanta pozostały nie zmienione. Są więc doskonale skopiiowane lub są jego własnymi uczuciami. Oczywiście imitacja Connanta, doskonale naśladowająca jego uczucia, zachowywałaby się dokładnie tak, jak on sam.

- Zaraz, czy Norris albo Van nie mogliby poddać Connanta jakiemuś testowi? Jeżeli stwór jest inteligentniejszy niż ludzie, powinien lepiej znać się na fizyce niż Connant, a oni by to wychwycili - zaproponował Barclay.

- Ale nie wtedy, jeżeli odczytuje myśli - potrząsnął przecząco głową znużony Copper. - Nie można zastawić na niego pułapki. Van proponował to już wczoraj wieczorem. Miał nadzieję uzyskać w ten sposób odpowiedź na niektóre istotne dla niego pytania z dziedziny fizyki.

- Ten pomysł wyprawy czterech uczyni życie szczęśliwszym - powiedział Benning, spoglądając na towarzyszy. - Każdy pilnuje pozostałych, żeby upewnić się, czy nie robią czegoś... dziwnego. Czyż nie możemy stać się grupą ufających sobie ludzi? Żaden nie spuszcza z oka sąsiadów, dając najwspanialszy pokaz wiary i zaufania. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli Connant, mówiąc „szkoda, że nie możecie zobaczyć waszych oczu”. Cały czas wszyscy na to cierpimy. Każdy z was rozgląda się dookoła z wyrazem twarzy mówiącym „ciekaw jestem, czy reszta to...”. Nawiasem mówiąc, nie wykluczam siebie.

- O ile mi wiadomo, zwierzę nie żyje, z lekkim zastrzeżeniem, jeśli idzie o Connanta. Nikt inny nie jest podejrzany - oświadczył McReady. - Polecenie „zawsze czwórki” to jedynie środek ostrożności.

- Czekam, aż Garry zrobi z tego „czwórkę na jednej pryczy” - westchnął Barclay. - Myślałem sobie, że nie miałem dotąd ani odrobiny intymności, no, ale od tamtego polecenia...

Nikt nie obserwował przebiegu testu z większym napięciem niż Connant. Mała sterylna probówka, wypełniona do połowy cieczą koloru słomkowego. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć kropli czystego roztworu, który doktor Copper przygotował z kropli krwi pobranej z ręki Connanta. Probówka została dokładnie wstrząśnięta, a potem umieszczona w zlewce z czystą, ciepłą wodą. Termometr odczytywał ciepłość krwi, niewielki termostat klekotał hałaśliwie, elektryczny grzejnik rozżarzył się, z chwilą gdy delikatnie zamigotały światelka.

Potem zaczęły tworzyć się nieduże białe plamki osadu, który strącał się w przezroczystej słomkowej cieczy.

- O Boże! - krzyknął Connant i opadł ciężko na pryczę, łkając jak dziecko. - Sześć dni - szlochał - sześć dni zastanawiania się, czy ten cholerny test skłamię... Garry przysunął się bezgłośnie i położył dłoń na plecach fizyka.

- Nie mógł skłamać - powiedział doktor Copper. - Pies był uodporniony na krew ludzką... i surowica zareagowała.

- A więc on jest... w porządku? - westchnął ciężko Norris. - To znaczy, że stwór nie żyje... jest martwy na zawsze?

- On jest człowiekiem - stanowczo oświadczył Copper. - A zwierzę nie żyje.

Kinner wybuchnął histerycznym śmiechem. McReady odwrócił się w jego stronę i uderzył go w twarz - metodycznie, po dwa razy w każdy policzek. Kucharz śmiał się, dławił, przez chwilę krzychał, a potem usiadł wyprostowany, rozcierając policzki i niewyraźnie marmocząc słowa podziękowania.

- Bałem się, o Boże, jak ja się bałem - powiedział.

- Myślisz, ty mało, że my nie? Sądysz może, że Connant się nie bał? - zaśmiał się urywanie Norris.

Budynek administracji ożywił się nagle. Słysząc było śmiechy, ludzie zgromadzeni wokół Connanta rozprawiali niepotrzebnie gromkim głosem, podnieceni, pełni wigoru, odprężeni i na powrót przyjaźni. Ktoś rzucił nagle propozycję i kilkanaście osób ruszyło po narty. Blair. Blair mógłby już dojść do siebie. Doktor Copper krzątał się przy swoich probówkach i badał roztwory, jeszcze zaafierowany, ale z uczuciem ulgi. Za drzwiami ruszyła do budy Blaira wyprawa uspokojonych, odprężonych mężczyzn. Hałaśliwie kłapały narty. W głębi korytarza psy, które ogarnął również nastrój ulgi i podniecenia, podniosły zaraz wrzaskliwy skowyt.

Doktor Copper krzątał się nadal przy probówkach. Siadł na brzegu pryczy z dwiema probówkami wypełnionymi słomkową cieczą i strąconym, bielejącym osadem. Twarz miał

bielszą niż zawartość probówek, a oczy szeroko otwarte z przerażenia. Milczał. Po policzkach spływały łzy.

Pierwszy spostrzegł to McReady. Poczuł, jak lodowaty nóż mrozi mu pierś i przesywa serce. Doktor Copper podniósł wzrok.

- Garry - zawołał ochryłym głosem. - Garry, na miłość boską, chodź tutaj! Komandor Garry podszedł szybko do niego. W budynku administracyjnym zapadło nagle milczenie. Connant spojrział w górę i zdrtwiał, wstał z krzesła.

- Garry... strąca się również tkanka potwora. To niczego nie dowodzi. Niczego poza tym... poza tym, że pies był także uodporniony na krew potwora. Znaczy to, że jedna z dwóch składowych krwi... jeden z nas, ty czy ja, Garry... jeden z nas jest potworem.

9

- Bar, zawróć ludzi, zanim powiedzą Blairowi - odezwał się spokojnie McReady.

Barclay podszedł do drzwi. Jego krzyki ledwie docierały do znajdujących się wewnątrz, milczących w napięciu mężczyzn. Wkrótce Barclay był z powrotem.

- Już idą - powiedział. - Nie mówiłem im, dlaczego mają wracać. Powiedziałem tylko, że doktor Copper tak kazał.

- McReady - westchnął Garry - niech cię Bóg wspomaga. Teraz ty dowodzisz. Ja nie mogę.

Olbrzym z brązu powoli skłonił głowę, patrząc swymi głęboko osadzonymi oczyma na komandora Garry'ego.

- Ja mogę nim być - dodał Garry. - Wiem, że nie jestem, ale w żaden sposób nie mogę tego dowieść. Test doktora Coppera zawiódł. Ale doktor Copper wykazał jego bezużyteczność, podczas gdy niewykazanie byłoby korzystne dla potwora. Dowodziłoby, że jest istotą ludzką.

Copper kołysał się powoli na pryczy.

- Wiem, że jestem człowiekiem, i również nie potrafię tego udowodnić - powiedział. - Jeden z nas dwóch kłamie, ponieważ test kłamać nie może i wskazuje, na któregoś z nas. Udowodniłem nieskuteczność testu, co chyba dowodzi, że jestem człowiekiem. Garry dostarczył teraz argumentu, który dowodzi mego człowieczeństwa - a będąc potworem, nie zrobiłby tego. I tak w kółko, bez końca...

Głowa doktora Coppera, a potem szyja i ramiona zaczęły zataczać powolne kręgi w rytm słów. Nagle padł na wznak na pryczę, rycząc ze śmiechu.

- Test wcale nie musi dowodzić, że jeden z nas jest potworem! Wcale nie musi tego dowodzić! Cha, cha! - zaśmiewał się Copper. - Jeżeli wszyscy bylibyśmy potworami, reakcja

byłaby taka sama! Wszyscy jesteśmy potworami... wszyscy... Connant i Garry, i ja... i wy wszyscy.

- McReady - odezwał się łagodnie Van Wall, jasnobrody pierwszy pilot - studiowałeś medycynę, zanim zająłeś się meteorologią, zgadza się? Czy potrafisz przeprowadzić jakiś test?

McReady podszedł powoli do Coppera, wyjął mu z ręki strzykawkę i umył ją dokładnie w dziewięćdziesięciopięcioprocentowym alkoholu. Garry siedział na brzegu pryczy z tępym wyrazem twarzy i beznamiętnie obserwował Coppera i McReady'ego.

- Może być tak, jak powiedział Copper - westchnął McReady. - Mógłbyś mi pomóc, Van? Dziękuję ci. - Wbił igłę w udo Coppera. Śmiech mężczyzny nie ustawał, tylko przechodził powoli w tłumione łkanie. Później, kiedy zaczęła działać morfina, doktor zapadł w głęboki sen.

McReady odwrócił się. Ludzie, którzy wyruszyli wcześniej do Blaira, stali w przeciwnym końcu pomieszczenia; z ich nart spływał topniejący śnieg. Twarze mieli śnieżnobiałe. Connant w jednej i w drugiej ręce trzymał zapalone papierosy. Tego z prawej pociągał, i - nieobecny myślami - gapił się w podłogę. Żar drugiego, tego w lewej, przyciągnął nagle jego uwagę. Spojrzał na niedopałek, a potem tępo wpatrywał się przez chwilę w drugi. Wreszcie rzucił jednego i zgniół obcasem.

- Doktor Copper mógł mieć rację - powtórzył McReady. - Wiem, że jestem człowiekiem, ale oczywiście nie potrafię tego udowodnić. Powtórzę test dla własnej satysfakcji. Ci spośród was, którzy chcą, mogą zrobić to samo.

Dwie minuty potem McReady trzymał już próbkę z białym osadem, wytrącającym się powoli z surowicy o słomkowej barwie.

- Reaguje również na krew ludzką - powiedział. - Zatem obaj nie są potworami.

- Nigdy nie uważałem, że są - westchnął Van Wall. - Potworowi by to nie odpowiadało; gdybyśmy wiedzieli, moglibyśmy ich zgładzić. Jak sądzisz, dlaczego potwór nas nie zabił? Chyba jest na wolności.

McReady parsknął głośnym śmiechem. Potem śmiał się już ciszej.

- To proste, drogi Watsonie - powiedział. - Potwór chce mieć do dyspozycji żywe organizmy. Wyraźnie nie może ożywić martwego ciała. Po prostu czeka - czeka, aż nadarzy się sposobność. Nas, którzy pozostaliśmy ludźmi, trzyma w rezerwie.

- Ej, tam! Mac! Mógłbym się dowiedzieć, czy jestem potworem? - wzdrygnął się gwałtownie Kinner. - Mógłbym wiedzieć, czy potwór już mną zawładnął? O Boże, ja już mogę być potworem!

- Dowiesz się - odpowiedział McReady.

- Ale my się nie dowiemy. - Norris śmiał się gwałtownie, na pół histerycznie. McReady spoglądał na fiolkę z resztką surowicy.

- Jest jedna rzecz, do której ta przeklęta ciecz się nadaje - powiedział po namyśle. - Clark, czy pomożecie mi z Vanem? Reszta niech lepiej trzyma się razem. Pilnujcie się nawzajem - dodał z goryczą. - Uważajcie, żebyście nie wpadli w jakąś kabałę!

McReady ruszył korytarzem w kierunku Psiego Obozu. Za nim podążali Clark i Van Wall.

- Potrzebujesz więcej surowicy? - spytał Clark. McReady potrząsnął przecząco głową.

- Trzeba więcej testów - odparł. - Mamy jeszcze cztery krowy, byka i prawie siedemdziesiąt psów. Ta surowica reaguje tylko na krew ludzką... i potworów. McReady wrócił do budynku administracyjnego i podszedł w milczeniu do umywalki. Po chwili dołączyli do niego Clark i Van Wall. Usta Clarka poruszał nerwowy tik, który przeszedł nagle w nieoczekiwany szyderczy śmiech.

- Co robiliście? - wybuchnął nagle Connant. - Dalsze szczepionki?

- Szczepionki. Cha, cha! Jasne, szczepionki - parsknął Clark.

- Ten potwór ma swoją logikę - powiedział dobitnie Van Wall. - Nasz uodporniony pies był całkiem w porządku. Pobraliśmy nawet trochę więcej surowicy do testów, ale nie będziemy już ich przeprowadzać.

- Nie możesz... nie możesz użyć krwi któregoś z ludzi do doświadczeń z innym psem?

- zaczął Norris.

- Nie mamy więcej psów - powiedział łagodnie McReady. - Ani bydła, dodam.

- Nie mamy więcej psów? - zdziwił się Benning, siadając powoli.

- Stają się obrzydliwe, kiedy zaczynają się zmieniać... tak powoli - uściślił Van Wall. - To żelastwo do śmiertelnego rażenia prądem, które ty, Barclay, skonstruowałeś, działa bardzo szybko. Został tylko jeden pies - ten uodporniony. Potwór zostawił go nam, abyśmy mogli pobawić się tym naszym testem. Reszta... - Van Wall wzruszył ramionami i wytarł ręce.

- Bydło... - wykrzyknął Kinner.

- Równie paskudnie. Prześliczna reakcja. Bydło wygląda piekielnie zabawnie, kiedy zaczyna się stapianie. Zwierzę, skrupowane łańcuchami albo postronkami, nie może podjąć szybkiej ucieczki, i musi nastąpić upodobnienie.

Kinner wstał powoli, rozglądając się gwałtownie dookoła. Zatrzymał się, cały w okropnych drgawkach, przy stojącym w kuchni blaszanym wiadrze. Powolutku, krok za kro-

kiem wycofywał się w stronę drzwi. W milczeniu otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona z wody.

- Mleko... - Z trudem łapał oddech. - Doilem godzinę temu... - wybuchnął przerażliwym krzykiem, dając nura przez drzwi. Znalazł się na zewnątrz na lodowej pokrywie bez skafandra, bez grubej odzieży.

Van Wall przez chwilę patrzył za nim w zamyśleniu.

- Chyba zupełnie oszalał - odezwał się wreszcie - ale może też być uciekającym potworem. Nie ma nart. Weźcie palnik, na wypadek...

Pościg za Kinnerem pomógł im; to trzeba było zrobić. Trzech mężczyzn, którzy pozostali, wymiotowało. Norris leżał płasko na wznak. Twarz miał zielonkawą, nieruchomy wzrok wbił w pryczę nad sobą.

- Mac, od jak dawna krowy nie są już krowami?

McReady wzruszył rozpaczliwie ramionami. Trzymając niewielką probówkę z surowicą podszedł do wiadra z mlekiem i zabrał się do pracy. Mleko zabarwiło surowicę, nie pozwalając na pewną ocenę. W końcu umieścił probówkę w stojaku. Pokręcił głową.

- Test jest negatywny - powiedział. - Co oznacza, że albo w czasie dojenia były krowami, albo jako doskonałe imitacje, dawały zupełnie normalne mleko.

Copper wiercił się niespokojnie i wydawał przez sen odgłosy bulgotania, coś pośredniego między chrapaniem a śmiechem. Zebrani w milczeniu utkwili w nim wzrok.

- Czyżby na potwora morfina... - ktoś zaczął pytać.

- Bóg raczy wiedzieć. - McReady wzruszył ramionami. - Działa na wszystkie ziemskie zwierzęta, które znam.

- Mac! - Connant uniósł nagle głowę. - Psy musiały połknąć kawałki potwora i to je zabiło! Znajdowały się tam gdzie i potwór. Ja byłem zamknięty. Czy to nie dowodzi...

- Przykro mi - potrząsnął przecząco głową Van Wall - ale to nie dowodzi, kim ty jesteś. Dowodzi tylko, czego nie zrobiłeś.

- Istotnie, nie dowodzi - westchnął McReady. - Jesteśmy bezradni, ponieważ za mało wiemy, a ze zdenerwowania nie myślimy logicznie. Zamknięty! Czy obserwowaliście kiedykolwiek białe ciałko krwi przedostającą się przez ściankę naczyń krwionośnego? Nie? Wysuwa nibynóżkę. I już jest... po przeciwnej stronie ścianki.

- Och! - jęknął Van Wall. - Bydło zaczęło się roztopiać, zgadza się? Mogło się roztopić i w postaci nitki cieczy przesączyćoby się pod drzwiami i zestaliło ponownie po drugiej stronie. Liny - o, te by nic nie pomogły. Dopiero w czymś szczelnie zamkniętym albo...

- Jeżeli przestrzelisz zwierzęciu serce - zaczął McReady - a ono nie umrze, znaczy że jest potworem. To najlepszy test, jaki przychodzi mi do głowy na poczekaniu.

- Nie ma żadnych psów ani żadnego bydła - odparł spokojnie Garry. - Teraz musi upodabniać się do ludzi. Trzymanie pod kluczem na nic się tu nie zda. Twój test mógłby zdać egzamin, Mac, ale obawiam się, że trudno go stosować wobec ludzi.

10

Clark podniósł wzrok znad kuchennego pieca, gdy strzepując z ubrań nawiany przez wiatr śnieg, wchodzili Van Wall, Barclay, McReady i Benning. Pozostali, stłoczeni w budynku administracyjnym, zajmowali się różnymi czynnościami - grali w szachy, w pokera, czytali. Ralsen naprawiał na stole sanie, Van i Norris głowa przy głowie śledzili dane magnetyczne, Harvey odczytywał półgłosem tabele.

Doktor Copper pochrapywał cicho na pryczy. Garry pracował z Duttonem nad plikiem wiadomości radiowych. Zajmowali kąt łóżka Duttona i niewielki skrawek stolika pod radio. Connant wykorzystywał część stołu na studiowanie arkuszy danych dotyczących promieniowania kosmicznego.

Pomimo zamkniętych podwójnych drzwi z korytarza całkiem wyraźnie dobiegał głos Kinnera. Clark trzasnął kociołkiem o piec kuchenny i przywołał gestem McReady'ego. Meteorolog podszedł do niego.

- Nie mam nic przeciwko temu cholernemu gotowaniu - odezwał się zdenerwowany Clark - ale może jest jakiś sposób na ucieszenie tego drania? Wszyscy zgodziliśmy się co do tego, że byłoby bezpiecznie ulokować go w Kosmicznym Domu.

- Kinnera? - McReady kiwnął głową w stronę drzwi. - Obawiam się, że nie. Mogę podać mu narkotyk, jednak nie dysponujemy nieograniczonym zapasem morfiny. Po prostu histerykuje; nie grozi mu niebezpieczeństwo utraty zmysłów.

- Ale nam zaczyna grozić. Przez półtorej godziny byłeś na zewnątrz. Trwa to nieprzerwanie od prawie czterech godzin. Wszystko ma swoje granice.

Garry przechadzał się powoli. McReady dostrzegł na moment w oczach Clarka dziki błysk strachu, a nawet przerażenia. Zdał sobie sprawę, że jego oczy w tej samej chwili musiały zdradzać to samo. Tak, Garry - to znaczy Garry albo Copper - był na pewno potworem.

- Gdybyś mógł przestać, Mac, byłoby to bardzo rozsądne - odparł spokojnie Garry. - W tym pomieszczeniu sytuacja jest i tak dosyć napięta. Zgodziliśmy się, że tamto miejsce byłoby dla Kinnera dobre, ponieważ wszyscy inni w obozie są pod stałą obserwacją - Garry z lekka zadrżał. - Spróbuj, na litość boską, spróbuj wymyślić jakiś skuteczny test.

- Pod obserwacją, czy nie, każdy jest spięty - westchnął McReady. - Blair zablokował kłapę tak, że się teraz nie otworzy. Mówi, że ma dosyć żarcia i nie przestaje wrzeszczeć „wynoście się, wynoście się, jesteście potworami. Ja nie dam się wchłonąć. Nie! Powiem wszystko ludziom, jak tu przyjdą. Wynoście się.” Wobec tego odeszliśmy.

- Nie ma innego testu? - błagał Garry. McReady wzruszył ramionami.

- Copper miał całkowitą rację - powiedział. - Próba krwi mogłaby być absolutnie rozstrzygająca, gdyby nie doszło do zakażenia. Ale jedyny pies, który pozostał, jest teraz odporny.

- A chemikalia? Testy chemiczne?

- Nasza chemia nie da sobie z tym rady. - McReady zaprzeczył ruchem głowy. - Próbowałem z mikroskopem, jak wiesz.

- Pies-potwór i prawdziwy pies były identyczne - przytaknął Garry. - Ale musisz działać dalej. Co będziemy robili po obiedzie?

. Van Wall przyłączył się do nich w milczeniu.

- Spanie na zmianę - powiedział. - Połowa śpi, połowa czuwa. Ciekaw jestem, ilu z nas to potwory? Wszystkie psy nimi były. Wydawało nam się, że jesteśmy bezpieczni, ale jakoś padło na Coppera albo na ciebie. - Oczy Van Walla błyszczały niepokojąco. - On może opanować wami wszystkimi. Wszystkimi oprócz mnie. A ja będę się tylko przyglądał i dziwował. Nie, to niemożliwe. Rzucilibyście się wtedy na mnie. Byłbym bezradny. My, istoty ludzkie, chyba jakoś na razie zachowujemy przewagę liczebną. Ale... - tu przerwał.

- Robisz teraz to, o co miał do mnie żal Norris - zaśmiał się McReady. - Pozostawiasz sprawę w zawieszeniu. „Jeżeli ktoś jeszcze ulegnie przemianie, zachwieje się równowaga sił.” Ten stwór nie walczy. Nie sądzę, aby kiedykolwiek walczył. To musi być stworzenie spokojne, na swój własny, niepowtarzalny sposób. Nigdy nie musiał walczyć, ponieważ zawsze osiągał swój cel inaczej.

Usta Van Walla wykrzywił brzydki grymas.

- Sugerujesz zatem, że może być tak, iż on już ma przewagę liczebną, tylko po prostu czeka - powiedział. - Oni wszyscy, może i wy wszyscy, czekacie, aż ja, ostatni z ludzi, utracę czujność we śnie. Mac, zauważyłeś ich spojrzenia, to, jak wszyscy na nas patrzą?

- Nie siedziałeś tutaj przez cztery godziny, kiedy oczy wszystkich ważyły informację o tym, że jeden z nas, Copper albo ja, jest na pewno potworem. A może obydwaj - westchnął Garry.

- Czy moglibyście uciszyć tego typu? - powtórzył swoją prośbę Clark. - Można od tego znikować. Każcie mu być ciszej.

- Wciąż się modli? - spytał McReady.

- Owszem - jęknął Clark. - Nie przerwał ani na sekundę. Nie mam nic przeciwko temu, żeby się modlił, jeśli przynosi mu to ulgę, ale on wyje, wyśpiewuje psalmy i hymny, wykrzykuje modlitwy. Myśli chyba, że Bóg go dobrze nie słyszy z tak daleka.

- Być może Bóg nie słyszy - odkrzyknął Barclay. - Inaczej zrobiłby coś z tym stworem z piekła rodem.

- Ktoś spróbuje przeprowadzić ten test, o którym wspominałeś, jeżeli się go nie powstrzyma - oświadczył groźnie Clark. - Myślę, że cios tasakiem w głowę byłby tak samo dobrym testem, jak kula w serce.

- Wracaj do swojego gotowania. Zobaczą, co się da zrobić. Może znajdę coś w szafkach - McReady przeszedł powoli w kąt pomieszczenia, gdzie znajdowała się apteczka Coppera. Trzy wysokie szafki z surowych desek, z czego dwie zamknięte na klucz, stanowiły obozowy skład leków. Dwanaście lat temu McReady uzyskał dyplom lekarza i kiedy zaczął praktykę lekarską, skierowano go na meteorologię. Copper był człowiekiem kompetentnym, dokładnie i w sposób nowoczesny znającym swój zawód. Ponad połowa dostępnych lekarstw była całkowicie nieznana McReady'emu; zastosowanie wielu spośród pozostałych musiałby sobie przypomnieć. Nie było tu ogromnej biblioteki lekarskiej ani roczników czasopism, w których mógłby przeczytać to, co zapomniał. Informacje o podstawowych, prostych dla Coppera rzeczach nie zasługiwały na włączenie do skromnej biblioteki, którą meteorolog zmuszony był się zadowolić. Książki są ciężkie, a każdy gram tego, co się tu znalazło, musiał być dostarczony drogą powietrzną.

McReady, mając nadzieję, że robi dobrze, wybrał jakiś barbituran. Barclay i Van Wall udali się razem z nim. W Wielkim Magnesie nikt nigdy i nigdzie nie chodził samotnie.

Ralsen uprzątnął sanie, a fizycy przesunęli stół. Przerwano grę w pokera. Clark nakładał potrawy. Dzwonienie łyżek i tłumione odgłosy jedzenia stanowiły jedyną oznakę życia w tym pomieszczeniu. Kiedy trójka wróciła, nie padło żadne słowo, jedynie wszystkie oczy skierowały się na nich badawczo, a szczęki poruszały się mechanicznie.

Nagle McReady zeszywniał. Kinner zaskrzeczał jakąś pieśń religijną ochryplym jak przy mutacji głosem. McReady, mając już dość, potrząsnął głową i spojrzał na Van Walla.

Van Wall zaklął siarczyście i usiadł przy stole.

- Będziemy po prostu musieli to przetrwać, dopóki nie zedrze sobie głosu - powiedział. - Nie może przecież wycić bez końca.

- On ma spiżowe gardło i odlaną z żelaza krtani - oświadczył rozwścieczony Norris. - Pozostaje nam nie tracić nadziei i tolerować go jako jednego z naszych przyjaciół. A wtedy będzie nadal ćwiczył gardło aż do dnia sądu ostatecznego.

Zapadło ciężkie milczenie. Przez dwadzieścia minut jedli bez słowa. Nagle Connant poderwał się ze wściekłą furją.

- Siedzicie tak spokojnie jak gromada bałwanów - warknął. - Nic nie mówicie, za to oczy macie naprawdę pełne wyrazu. Przewracacie nimi bez przerwy, jakby były garścią szklanych kulek rzuconych na stół. Łypiecie ślepiami, raz je mrużycie, raz wybałuszacie i coś sobie szepczecie. A może dla odmiany byście pogapili się na coś innego?

- Posłuchaj, Mac, ty jesteś tu szefem. Powyświetlajmy filmy przez resztę wieczoru. Oszczędzaliśmy je, żeby starczyły na dłużej. Na jakie dłużej? Kto będzie oglądał te filmy? Obejrzyjmy je, póki jeszcze jesteśmy w stanie, popatrzmy na coś innego, zamiast wciąż gapić się na siebie.

- Świetny pomysł, Connant. Ja osobiście mam wielką ochotę zmienić to co jest na coś innego, obojętnie na co.

- Podkręć głos, Dutton. Może uda się zagłuszyć te religijne pienia - rzucił Clark. - Tylko nie... - odezwał się cicho Norris - nie gaś naraz wszystkich świateł.

- Światła będą zgaszone - sprzeciwił się McReady. - Wyświetlimy wszystkie filmy rysunkowe, jakie tu są. Nie macie chyba nic przeciwko obejrzeniu starych kreskówek?

- Słodkie przedstawienie dla grzecznych dzieci. Akurat jestem w nastroju. - McReady odwrócił się, by spojrzeć na mówiącego: chudego, wręcz wymizerowanego mieszkańca Nowej Anglii, nazwiskiem Caldwell. Ten, wolno nabijając sobie fajkę, mrugnął znacząco do McReady'ego.

Olbrzym z brązu roześmiał się z przymusem.

- W porządku, Bart, wygrałeś - powiedział. - Nie jesteśmy może specjalnie w nastroju do oglądania Popeya i Kaczora Donalda, ale to zawsze coś.

- Zagrajmy w inteligencję - zaproponował Caldwell. - Rysuje się linie na kawałku papieru i zapisuje klasy - na przykład, zwierzęta. Myślę, że będzie z tego znacznie lepsza rozrywka. Zabawa w inteligencję to coś, czego potrzebujemy teraz znacznie bardziej niż filmów. Może ktoś ma ołówek, żeby narysować linie?

- McReady usiłuje właśnie coś znaleźć - odparł spokojnie Van Wall. - Mamy tu zwierzęta na literę „p”. Więcej nie potrzebujemy.

- To znaczy „pomyleni”? - zachichotał Caldwell. - Clark, pomogę ci z tymi garami, żebyśmy mogli uruchomić nasz mały fotoplastykon - powiedział, powoli wstając z miejsca.

Dutton, Barclay i Benning, zajmujący się projektorem oraz urządzeniami nagłaśniającymi, pracowali w milczeniu. W tym czasie posprzątało budynek administracyjny, zebrano talerze i garnki. McReady przeciskał się powoli w stronę Van Walla, aż w końcu usiadł obok niego na pryczy, oparty plecami o ścianę.

- Zastanawiałem się, Van - powiedział z krzywym uśmiechem - czy zgłosić już teraz swój pomysł. Zapomniałem, że tamci i tak potrafią odczytywać myśli. Mam niejasną wizję czegoś, co mogłoby zadziałać. Jest ona jeszcze zbyt mglista, aby zawracać sobie nią głowę. Prowadź dalej ten pokaz, a ja spróbuję doszukać się jakiejś logiki. Zajmuję tę pryczę.

Van Wall spojrział w górę i skinął głową. Ekran filmowy znajdzie się praktycznie w tej samej linii, co jego prycza, niemal niewidoczny i nie będzie go rozpraszał.

- Być może powinieneś nam powiedzieć, o czym myślisz - rzekł Van Wall. - W tej chwili tylko ci „obcy” wiedzą, co zamierzasz. Możesz stać się „obcym”, zanim przystąpisz do działania.

- To nie potrwa długo, jeżeli myślę dobrze. Tylko nie chcę już żadnych testów z psami i potworami. Lepiej będzie, jeśli przeniesiemy Copperra na pryczę bezpośrednio nade mną. On też nie będzie patrzył w ekran. - McReady wskazał ruchem głowy łóżko Copperra, z którego dochodziło ciche chrapanie. Garry pomógł im przenieść doktora.

McReady oparł się o pryczę i zapadł niemalże w trans koncentracji, usiłując obliczyć szanse, przemyśleć metody działania. Prawie nie dotarło do niego, że pozostali roztasowali się w milczeniu i że ekran rozbłysł. Póki nie włączył się podkład muzyczny, słychać było szaleńcze krzyki i chrapliwe pienia religijne modlącego się Kinnera. Światła w pomieszczeniu były wygaszone, ale duża płaszczyzna jasnego ekranu odbijała wystarczająco wiele światła, by było niemal widno. Poruszające się gorączkowo ludzkie oczy błyszczały jak iskierki. Kinner krzyczał, modląc się ciągle; jego głos stanowił ochrypły akompaniament mechanicznej muzyki. Dutton przekręcił wzmacniacz.

Okrzyki Kinnera trwały już od tak dawna, że początkowo McReady niezbyt jasno uświadamiał sobie, iż czegoś mu brakuje. Cały czas, kiedy tak leżał tuż na wprost korytarza wiodącego do Kosmicznego Domu, głos Kinnera dochodził do niego całkiem wyraźnie pomimo głośnego tła dźwiękowego filmowych obrazów. Nagle uderzyło go, że głos ten ucichł.

- Dutton, wyłącz dźwięk - odezwał się McReady, siadając nagle.

Obraz migotał przez chwilę bezgłośnie i dziwnie bez sensu w nagłej, głębokiej ciszy. Wiatr, coraz silniejszy, zanosił się gdzieś w górze melancholijnym płaczem i huczał w kominię pieca.

- Kinner przestał - powiedział cicho McReady.

- Na litość boską, włącz ten dźwięk. On mógł przestać, bo chciał słuchać - warknął Norris.

McReady wstał i wyszedł na korytarz. W przeciwległym końcu pomieszczenia Barclay i Van Wall podnieśli się z miejsc i podążyli za nim. Kiedy Barclay przecinał snop światła wciąż działającego projektora, na jego plecach zatańczyły migoczące kształty. Dutton nagłym ruchem włączył światło i obraz znikł.

Norris stał przy drzwiach, tak jak prosił McReady. Garry usiadł spokojnie na pryczy przy samym wyjściu, popychając Clarka, by się posunął. Reszta została dokładnie tam gdzie przedtem. Tylko Connant spacerował tam i z powrotem w tym samym niezmiennym rytmie.

- Jeżeli będziesz to robił, Connant - splunął Clark - damy sobie radę bez ciebie, czy jesteś człowiekiem, czy nie. Skończ wreszcie to przeklęte tupanie!

- Przepraszam. - Fizyk usiadł na pryczy i w zamyśleniu oglądał czubki swoich butów. Zapadła cisza przerywana jedynie odgłosem wiatru. Minęło prawie pięć minut, a raczej pięć wieków, zanim McReady pojawił się w drzwiach.

- Widocznie do tej pory mieliśmy tu za mało nieszczęść - oświadczył. - Ktoś usiłował nas wyręczyć. Kinner ma nóż w gardle i prawdopodobnie dlatego przestał śpiewać. Mamy potwory, pomyłonych i podrzynaczy gardeł. Czy wymyślisz jeszcze coś na „p”, Caldwell? Jeśli tak, to pewnie niedługo się tu pojawi.

11

Czy Blair jest na wolności? - padło pytanie.

- Nie. Chyba, że wyfrunął. Jeżeli mielibyśmy podejrzewać, skąd nadeszła ta szlachetna pomoc, ten oto przedmiot może wiele wyjaśnić. - Van Wall trzymał zawinięty w tkaninę nóż o cienkim ostrzu, długości około jednej stopy. Drewniany trzonek był do połowy upalony; pozostał na nim ślad fajerek.

- Ja to zrobiłem dziś po południu - powiedział Clark, wpatrując się w nóż. - Zapomniałem o tym cholerstwie i zostawiłem je na piecu.

- Poczułem swąd, jak pamiętasz - Van Wall skinął głową. - Wiedziałem, że jest w kuchni.

- Ciekaw jestem - zaczął Benning, rozglądając się ostrożnie po całym towarzystwie - ile mamy jeszcze potworów? Jeżeli komuś udało się stąd wymknąć, dotrzeć z kina do kuchni, a potem pójść do Kosmicznego Domu i wrócić... bo przecież tu jest. Tak, wszyscy tu są. No cóż, jeżeli zrobił to wszystko ktoś z naszej paczki...

- Może zrobił to potwór? - spokojnie zasugerował Garry. - Istnieje taka możliwość.

- Potworowi, jak zauważyłeś dziś rano, zostali już tylko ludzie do naśladowania. Czy chciałby uszczuplić swój, że tak powiem, zapas? - wskazał Van Wall. - Nie, po prostu jest wśród nas zwyczajna, ordynarna wesz: mamy do czynienia z mordercą. Normalnie nazwalibyśmy go niehumanoidalnym mordercą, ale teraz musimy go jakoś inaczej zaklasyfikować. Mamy więc morderców niehumanoidalnych i mamy morderców humanoidalnych. A przynajmniej jednego.

- Jest o jedną istotę humanoidalną mniej - stwierdził cicho Norris. - Być może potwory osiągnęły teraz równowagę sił.

- Mniejsza o to - westchnął McReady i zwrócił się do Barclaya. - Barclay, mógłbyś wciągnąć ten swój przyrząd elektryczny? Mam zamiar upewnić się...

Barclay skręcił w głąb korytarza po swoje urządzenie, podczas gdy McReady i Van Wall zmierzali z powrotem do Kosmicznego Domu. Po upływie około trzydziestu sekund dołączył do nich Barclay.

Korytarz prowadzący do Kosmicznego Domu był kręty jak prawie wszystkie korytarze w Wielkim Magnesie i Norris ponownie stanął w wejściu. Usłyszeli nagle trochę przytłumiony krzyk McReady'ego. Dochodziły do nich odgłosy szybkich, zaciekłych ciosów i głuche dźwięki, a w końcu wołanie „Bar... Bar...”. Dziwaczny, dziko miauczący wrzask ucichł, zanim jeszcze biegnący Norris zdążył dotrzeć do zakrętu korytarza.

Na podłodze leżał Kinner - a raczej coś, co przedtem było Kinnerem, rozcięte na dwie połowy olbrzymim nożem, który trzymał McReady. Meteorolog stał oparty o ścianę, z ociekającym krwią nożem w ręku. Van Wall wiał się na podłodze jęcząc i na wpół przytomnie skubał sobie brodę. Barclay, z nie dającym się opowiedzieć dzikim błyskiem w oczach, opuścił śmiertelnościaną broń i dźgał nią nieprzerwanie.

Ręce Kinnera pokryte były przedziwną sierścią, ciało powykręcało się. Palce stały się krótsze, głowa zaokrągliła, paznokcie przekształciły w niemal trzycalowe zrogowaciałe szpony o matowej czerwonej barwie, twarde jak stal i ostre jak brzytwa.

McReady podniósł wzrok, popatrzył na nóż i wypuścił go z ręki.

- Ktokolwiek to zrobił, może śmiało mówić - powiedział. - To niehumanoidalny morderca, ponieważ zamordował istotę humanoidalną. Przysięgam na wszystko, co święte, że kiedy tu przybyliśmy, na podłodze leżał martwy już Kinner. Ale kiedy zwłoki wyczuły, że będziemy razić je prądem, zaczęły się zmieniać.

- O Boże, te stwory potrafią nieźle działać - powiedział Norris, wpatrując się niepewnie w podłogę. - Bogowie! Siedział tu godzinami, klepiąc modlitwy do Boga, którego nienawidził! Chrapliwym głosem wywrzaskiwał pieśni religijne - hymny o kościele, którego nigdy nie znał. Doprowadzał nas do szału bezustannym wyciem... W porządku. Obojętne kto to zro-

bił, niech mówi. Sprawca nie zdawał sobie sprawy, że wyświadcza obozowi przysługę. Chcę wiedzieć do diabła, w jaki sposób on się stąd wydostał, przez nikogo nie zauważony. Pomogłoby to nam mieć się na baczności.

- Te jego wrzaski, śpiewy... Nawet dźwięk z projektora nie mógł go zagłuszyć. Clark wzdrygnął się. - To był potwór.

- Ach! - odezwał się Van Wall, jakby nagle wszystko zrozumiał. - Siedziałeś przecież tuż przy drzwiach! I prawie z tyłu ekranu.

- On... ten stwór jest teraz spokojny. - Clark pokiwał głową w milczeniu. - Jest martwy. Nieważne, potwór czy człowiek, był martwy.

- Chłopaki, oto Clark, jedyny, o którym wiemy, że jest człowiekiem! Oto Clark, który udowodnił, że jest istotą ludzką, bo usiłował popełnić morderstwo. I nie udało mu się - chichotał McReady. - Czy pozostali mogliby powstrzymać się przez chwilę od prób dowodzenia, że są ludźmi? Sądzę, że możemy przeprowadzić jeszcze jeden test.

- Test! - radośnie zareagował Connant, po czym wykrzywił twarz na znak rozczarowania. - Przypuszczam, że znów będzie na dwoje babka wróżyła.

- Nie - powiedział stanowczo McReady. - Patrzcie pilnie i uważajcie. Wejdźcie do budynku administracyjnego. Barclay, przynieś swoje urządzenie elektryczne. Niech ktoś... ty Dutton, trzymaj się blisko Barclaya, aby go dopilnować. Obserwujcie sąsiadów, bo nieważne, do diabła, skąd te potwory się wzięły, ale ja mam coś na nie i one o tym wiedzą. Więc staną się niebezpieczne!

Napięcie wzrosło nagle. Każdy poczuł wiszące w powietrzu miazdzące zagrożenie. Obserwowano się bacznie nawzajem, bardziej przenikliwie niż kiedykolwiek. „Czy ten obok mnie jest potworem?”, zadawano sobie pytania.

- Co to ma znaczyć? - spytał Garry, kiedy znaleźli się ponownie w głównym pomieszczeniu. - Jak długo to potrwa?

- Dokładnie nie wiem - odparł McReady głosem pełnym gniewnej determinacji. - Za to wiem, że test zadziała i to jednoznacznie. Jego wynik zależy od głównych cech potworów, a nie od nas. Przypadek „Kinnera” właśnie mnie o tym przekonał. - Mocny, masywny McReady stał nieruchomo jak posąg z brązu, wreszcie znów całko - wicie pewny siebie.

- To - zaczął Barclay, podrzucając w rękę oprawną w drewno broń zakończoną dwoma ostro zakończonymi przewodami pod napięciem - będzie raczej konieczne. Ja się tym zajmę. Czy mamy zapewniony dopływ prądu?

- Automatyczny zasilacz jest naładowany - potwierdził Dutton skinieniem głowy. - Siłownia gazowa w pogotowiu. Uruchamiałem ją z Van Wallem do wyświetlania filmu. Spraw-

dzaliśmy ją dokładnie kilka razy. Wszystko, czego dotkną te druty, zginie - zapewnił groźnie.
- Ja to wiem.

Doktor Copper poruszył się nieznacznie na swojej pryczy, przecierając dłońmi powieki. Usiadł powoli, zmrużył zamglone pod wpływem lekarstwa i niedawnego snu oczy, rozszerzone nie dającą się opisać zgrozą narkotycznych koszmarów.

- Garry - wymamrotał - Garry, posłuchaj. Samoluby... przysły z piekła... piekielnie samolubne... powiedziałem samo... tak? Co ja chciałem powiedzieć? - Opadł na pryczę i łagodnie zachrapał.

McReady spojrział na niego zamyślony.

- Wkrótce się dowiemy. - Powoli skinął głową. - Samolubny to słuszne określenie. Mogłeś o tym rozmyślać na wpół śpiąc. Zastanawiam się wciąż, jakie mogłeś miewać sny. Ale wszystko jest w porządku. „Samolubny” to właściwe słowo. One muszą być takie, sam to rozumiesz. - Zwrócił się do obecnych, milczących mężczyzn, wilczym wzrokiem obserwujących w napięciu każdego z sąsiadów. - Samolubne... no i, jak powiedział doktor Copper, każda część stanowi całość. Każdy kawałek jest sam dla siebie samowystarczalnym zwierzęciem.

To właśnie i jeszcze jedno tłumaczy całą sprawę. Krew nie kryje w sobie żadnych tajemnic. Jest taką samą normalną tkanką jak kawałek mięśnia albo kawałek wątroby. Ale nie zawiera aż tyle tkanki łącznej, chociaż składa się z milionów, nie, z miliardów żywych komórek.

Ponury uśmiech nastroszył brązową, olbrzymią brodę McReady'ego.

- Jest to w pewnym stopniu przekonujące. Jestem całkowicie pewien, że my, ludzie, nadal przeważamy liczebnie nad wami, odmieńcami. Odmieńcami, którzy tutaj stoicie. My posiadamy to, czego wasza rasa z innego świata najwyraźniej nie ma - nie udawany, lecz wrodzony instynkt, porywający, nie gasnący, autentyczny zapał. Będziemy walczyć, walczyć z okrucieństwem, które możecie próbować naśladować, ale nigdy nam w nim nie dorównacie! Jesteśmy istotami ludzkimi. Jesteśmy prawdziwi. Wy jesteście imitacjami, fałszywymi aż do jądra komórki.

W porządku. Teraz wykładamy karty. Wiecie, o czym mówię. O tym waszym odczytywaniu myśli. Ukradliście mi myśl z mojego mózgu. I nic z nią nie możecie zrobić, bo ona tu pozostaje.

Ujawnijmy ją. Krew jest tkanką. Oni muszą krwawić. Jeżeliby skaleczeni nie krwawili, znaczyłoby to, na miły Bóg, że są sztuczni! Sztuczni z piekła! Jeżeli będą krwawić, wówczas ta wypływająca z nich krew stanowić będzie odrębną jednostkę - nowo powstałego

osobnika o prawidłowej budowie. Oni wszyscy są odrębnymi osobnikami powstałymi z rozszczepienia jednej pierwotnej istoty! Zrozumiałeś, Van? Znasz już odpowiedź, Bar?

- Krew... krew się nie podda - zaśmiał się cicho Van Wall. - Jest nowym osobnikiem, usilnie dążącym do ochrony własnego życia, tego, którym żyje osobnik macierzysty - główna masa, która uległa rozszczepieniu. Krew będzie żyła i usiłowała wydostać się z - powiedzmy - rozgrzanej igły!

McReady wziął ze stołu skalpel. Z szafki wyjął stojak z probówkami, małą lampkę spirytusową i długi platynowy drut umieszczony w niedużej szklanej rurce. Uśmiech ponurej satysfakcji wypełził mu na usta. Rozglądał się przez chwilę po otaczających go osobach. Barclay i Dutton posuwali się wolno w jego kierunku, z oprawnym w drewno elektrycznym przyrządem w pogotowiu.

- Dutton, może stanąłbyś w miejscu, gdzie to podłączyłeś - zarządził McReady. - Żeby mieć pewność, że żaden... stwór tego nie rozłączy.

Dutton cofnął się.

- No to, Van, może będziesz pierwszy? - powiedział.

Poblady Van Wall zrobił krok w przód. McReady delikatnie i precyzyjnie przeciął mu żyłę u nasady kciuka. Van Wall drgnął nieznacznie, a potem mocno stał w miejscu, aż pół cala jasnej krwi zebrało się w probówce. McReady wstawił probówkę do stojaka, a Van Wallowi podał kawałek ałunu i buteleczkę z jodyną.

Van Wall przyglądał się próbie, stojąc bez ruchu. McReady rozgrzał platynowy drut nad płomieniem lampki spirytusowej, a następnie zanurzył go w probówce. Drut zasyczał cicho. Test został powtórzony pięciokrotnie.

- Człowiek - McReady westchnął i wyprostował się. - Jak dotąd, moja teoria jeszcze się nie sprawdziła, ale nie tracę nadziei. Nie tracę nadziei... A tak w ogóle, nie przyglądajcie się temu zbyt pilnie. Bez wątpienia są wśród nas jakieś istoty niepożądane. Van, zmieniłbyś Barclaya przy przełączniku? Dziękuję. W porządku, Barclay, niech mi będzie wolno wyrazić nadzieję, że pozostaniesz z nami. Cholernie dobry z ciebie chłopak.

Barclay uśmiechnął się niepewnie. Potem skrzywił się, czując cięcie ostrego skalpela. Wreszcie zaśmiał się szeroko i odzyskał swoją broń.

- Pan Samuel Dutt... Bar!!!

W tej samej sekundzie nastąpił wybuch napięcia. Teraz, bez względu na to, ile diabelstwa mogły mieć w sobie potwory, ludzie im dorównali. Barclay nie miał nawet szansy, aby ruszyć bronią, kiedy gromada mężczyzn spadła na stwora, który do niedawna brany był za Duttona. Stwór obrzydliwie miauczał, prychał, próbował wypuszczać kły, ale został rozerwa-

ny, rozdarty na kawałki. Został zmiżdżony, rozszarpany bez użycia noży czy jakiegokolwiek innej broni.

Zwycięzcy podnieśli się z pałającymi oczyma, pozornie bardzo opanowani. Dziwnie zesznurowane usta zdradzały pewne zdenerwowanie.

Barclay przejechał po szczątkach elektryczną bronią. Kawałki tliły się i śmierdziały. Żrący kwas, którym Van Wall polał każdą rozlaną kroplę krwi, wydzieliał drażniące, wywołujące kaszel opary.

Twarz McReady'ego wykrzywił grymas. Jego głęboko osadzone oczy płonęły, rozbiegane.

- Być może - odezwał się po cichu - nie doceniałem ludzkich zdolności, kiedy mówiłem, że żaden człowiek nie mógłby dorównać okrucieństwu, jakie miał w oczach ten stwór. Żałuję, że nie mieliśmy okazji potraktować potworów w bardziej odpowiedni sposób. Na przykład stosując wrzący olej albo stopiony ołów, albo chociaż przypiekanie ich powoli w kotle. Kiedy pomyślę, jakim człowiekiem był Dutton...

Ale mniejsza o to. Czyżby moją teorię potwierdził ten... ten, który wiedział? No cóż, Van Wall i Barclay zostali wypróbowani. Wobec tego spróbuję udowodnić wam to, czego ja jestem pewien. Tego, że również jestem człowiekiem. - McReady zanurzył skalpel w czystym alkoholu, opalił metalowe ostrze i fachowo przeciął swój kciuk u nasady.

Po dwudziestu sekundach podniósł wzrok znad pulpitu na wyczekujących obserwatorów. Przybywało wokół roześmianych szeroko twarzy, śmiejących się przyjaźnie, chociaż oczy mówiły jeszcze coś innego.

- Connant - zaśmiał się cicho McReady - miał rację. Psy, które przyglądały się tamtemu stworowi na zakręcie korytarza, nie miały nic przeciwko niemu. Zastanawiam się, dlaczego uważamy, że tylko wilcza krew niesie za sobą okrucieństwo? Być może wilk jest lepszy, kiedy idzie o odruchową napastliwość, jednak po tych siedmiu dniach... porzucicie wszelką nadzieję, ci, którzy staliście się wilkami! Nie traćmy czasu. Connant, mógłbyś tu podejść...

... I znów Barclay okazał się zbyt powolny. Kiedy razem z Van Wallem dokończył dzieła, znów przybyło roześmianych twarzy, a napięcie opadło.

- Connant był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich tu mieliśmy. Jeszcze pięć minut temu przysiągłbym, że jest człowiekiem - mówił Garry ściszone, pełnym goryczy głosem. - Te przekłeto stwory są czymś więcej niż imitacją. - Wzdrygnął się i usiadł z powrotem na pryczy.

A po trzydziestu sekundach krew Garry'ego wzbraniała się już przed rozgrzanym platynowym drutem i szamotała się, by ująć z próbówki. Szamotała się szaleńczo i później, kiedy

zdziaczała nagle, czerwonoooka, rozplywająca się imitacja Garry'ego wszystkimi siłami próbowała umknąć przed węzowym językiem nacierającej broni Barclaya, bladego i zlanego potem. Stwór w probówce pisnął cienkim głosem, kiedy McReady wrzucił go do pieca z rozżarzonego węgla.

12

Ostatni? - Siedzący na pryczy doktor Copper popatrzył w dół nabiegłymi krwią, smutnymi oczyma. - Było ich czternastu.

McReady przytaknął szybkim skinieniem głowy.

- Gdybyśmy tylko potrafili na zawsze zapobiec ich rozprzestrzenianiu; chciałbym nawet te imitacje mieć tu z powrotem - powiedział. - Komandora Garry'ego, Connanta, Duttona, Clarka...

- Gdzie oni to wszystko zabierają? - Copper wskazał na nosze, które wynosili Barclay i Norris.

- Na zewnątrz, na lód. Tam, gdzie zrzucili piętnaście rozbitych skrzyń, pół tony węgla, a teraz dodadzą jeszcze dziesięć galonów nafty. Każdą rozlaną kroplę krwi, każdy rozszarpany kawałek polaliśmy kwasem. A teraz spopielimy te szczątki.

- To wygląda na starannie opracowany plan - stwierdził znużony Copper. Ciekaw jestem... nie powiedziałaś, czy Blair...

- Zapomnieliśmy o nim! - zreflektował się McReady. - Mieliśmy tyle innych zajęć! Zastanawiam się... jak sądzisz, czy możemy go teraz wyleczyć?

- Jeżeli... - zaczął doktor Copper i znacząco przerwał.

- Nawet, jeśli jest obłąkany - McReady zreflektował się po raz drugi - naśladował Kinnera i jego historyczne modły. Van, musimy urządzić wyprawę do budy Blaira - zwrócił się do siedzącego przy długim stole Van Walla.

Van spojrzał nań przelotnie. Zmarszczył brwi, a potem sobie przypomniał.

- Niech lepiej Barclay też pójdzie - powiedział, skinąwszy głową. - On zakładał zabezpieczenia i może wymyślić, jak dostać się do środka, żeby nie wystraszyć zbytnio Blaira.

Trzy kwadransy na trzydziestostopniowym mrozie. Nad głowami wydęta czasza zorzy polarnej. Zmierzch trwał już prawie dwanaście godzin; płonął na północy jak iskrzące się pod ich nartami białe kryształki śniegu. Wiatr, wiejący z prędkością pięciu mil, tworzył śnieżne zaspę zwrócone w kierunku północno-zachodnim. Trzeba było aż trzech kwadransów, żeby dotrzeć do zakopanej w śniegu budy. Z komina nie wydobywał się dym. Mężczyźni przyspieszyli.

- Blair! - ryknął Barclay prosto w wiatr jeszcze z odległości stu jardów od celu. - Blair! - powtórzył.

- Zamknij się - powiedział cicho McReady. - Szybciej. Mógł podjąć próbę długiej wędrówki. Jeśli przyjdzie nam podążyć za nim... bez samolotów, z uszkodzonymi traktorami... ‘

- Czy potwór ma taką samą wytrzymałość jak człowiek?

- Złamana noga nie powstrzymałaby go na dłużej niż minutę - odparł McReady. Nagle Barclay krzyknął i wskazał wysoko w górę. Jakiś skrzydlaty stwór, słabo widoczny na oblanym światłem brzasku niebie, zataczał kręgi z nieopisaną gracją i lekkością. Olbrzymie białe skrzydła przechyliły się łagodnie i ptak; obserwując ich w milczeniu, przeleciał nad nimi majestatycznie.

- Albatros - powiedział cicho Barclay. - Pierwszy w tym roku. Z jakiejś przyczyny zawędrował w głąb lądu. Jeżeli potwór jest na wolności...

Norris pochylił się na lodzie, pospiesznie szarpiąc na sobie ciężkie, chroniące od wiatru ubranie. Wyprostował się. Poły skafandra zatrzepotały. W dłoni Norrisa ukazała się groźna sinostalowa broń. Zagrzmiała wyzwaniem rzuconym białej antarktycznej ciszy.

Przybysz wrzasnął skrzekliwie w powietrzu. Szaleńczo pracował olbrzymimi skrzydłami, kiedy wypadające z ogona masy piór zaczęły szybować ku ziemi. Norris ponownie wystrzelił. Ptak oddalał się szybko niemal po linii prostej. Znow wrzasnął, spadło jeszcze więcej piór, a potem trzepocząc skrzydłami wzbił się ponad krawędź lodowego zwaliska i zniknął.

Norris dogonił pozostałych.

- Nie wróci - powiedział zziębnięty.

Barclay gestem nakazał mu milczenie. Przez drzwi budy biło przedziwne, wściekle niebieskie światło. Z wnętrza dobiegało bardzo ciche, delikatne mruczenie, łącząc się z brzękiem i szcękaniem narzędzi. Odgłosy te świadczyły o jakimś szalonym pośpiechu.

McReady zbladł.

- Boże, ratuj, jeżeli ten stwór ma... - chwycił Barclaya za ramię, wykonując palcami ruchy naśladujące cięcie i wskazując linki sterownicze, które blokowały drzwi.

Barclay wyciągnął z kieszeni szczypce do cięcia drutu i bezgłośnie uklęknął przy drzwiach. Przecinane druty powodowały nieznośny hałas w absolutnym spokoju antarktycznej ciszy. Jedyne ten dziwny, melodyjny, delikatny pomruk, dobywający się z budy, wraz z osobiście gorączkowymi uderzeniami pobrzękujących i stukających narzędzi, zagłuszał odgłosy wydawane przez przybyłych.

McReady zjrzał do środka przez szczelinę w drzwiach. Chrapliwie wciągnął powietrze. Wielkie palce zacisnął boleśnie na ramieniu Barclaya. Meteorolog cofnął się.

- To nie jest... Blair - wyjaśnił ściszym głosem. - To coś klęczy na czymś na pryczy.
- Na czymś, co wisi. Cokolwiek to jest, wygląda jak plecak... i się unosi.

- Wszyscy razem - powiedział groźnie Barclay. - Nie. Norris, zaczekaj i zabierz to swoje żelastwo. Może być uzbrojony.

Potężne ciało Barclaya wspomagane przez gigantyczną siłę McReady'ego wyważyło drzwi. Wewnątrz, barykadująca wejście prycha wściekle zaskrzypiała i z trzaskiem zmieniła się w kupę drewna na podpałkę. Drzwi wyleciały z wyłamanych zawiasów, a do środka wpadły drewniane kawałki futryny.

Stwór podskoczył w górę jak niebieska gumowa piłka. Jedna z czterech mackowatych rąk rozwinęła się jak atakujący nóż. W dłoni o siedmiu mackach zamigotał wzniesiony w górę jakby sześciocalowy ołówek z mieniającego się, świecącego metalu. Wąskie jak kreseczki usta wykrzywił grymas nienawiści, odsłaniając wężowe kły. Czerwone oczy rozjarzyły się wściekle.

Rewolwer Norrisa zagrzmiął w pomieszczeniu. Pełna nienawiści twarz wykrzywiła się w grymasie cierpienia. Rozciągnięte macki cofnęły się. Ze srebrzystego metalowego przedmiotu, który potwór trzymał w ręku, pozostały szczątki. Dłoń o siedmiu mackach stała się masą rozszarpanego ciała spływającego zielonkawożółtą posoką. Rewolwer zagrzmiął jeszcze trzy razy. Na miejscu trojga oczu pojawiły się wydrążone ciemne dziury. Norris cisnął w twarz potwora pustą już bronią.

Stwór ryknął z dziką nienawiścią. Machające na oślep macki dotknęły nie widzących już oczu. Przez chwilę rzucał się po podłodze i wściekle walił dookoła mackami. Jego ciało szarpały drgawki. Potem, słaniając się, powstał, poruszając odrażająco ciekącymi, ślepyimi oczyma. Pozbywał się zmiażdżonego ciała, zrzucając z siebie kleiste kawałki.

Barclay, zataczając się ruszył naprzód z toporem w ręku. Płaskim uderzeniem strząsał skroń przeciwnika. Niezniszczalny potwór upadł ponownie i znów tłukł dookoła mackami. Nagle Barclay zwałił się jak długi, porwany w uścisk żywej, rozszalałej pętli. Potwór rozkładał się podczas tego zwania; rozpalona do białości lina wżerała się żywym ogniem w ręce Barclaya. Ten, w szalonym wysiłku, zdarł z siebie to paskudztwo i teraz trzymał ręce z daleka, tak by napastnik nie mógł ich dosięgnąć. Oślepy potwór nie przestawał macać; darł mocny, wiatroszczelny skafander Barclaya w poszukiwaniu nagiego ciała - ciała, które mógłby przemienić...

Olbrzymi palnik, który przyniósł McReady, wydał jakby uroczyste chrząknięcie. Nagle zadudnił gardłowo. Potem jakby zaśmiał się bulgocząc i wyrzucił z siebie niebieskobiały, trzystopowy jęzor ognia. Leżący na podłodze potwór wrzasnął, walił na oślep mackami, wił się i konał w kipiącym gniewem ogniu palnika. Pełzał i skręcał się na podłodze, wrzeszczał przeraźliwie, miotał się szaleńczo niczym spętane zwierzę. McReady przez cały czas raził go palnikiem, przytkniętym niemal do jego twarzy. Martwe oczy nadaremnie płonęły i kipiały. Rozszalały potwór czołgał się jeszcze i wył.

Macka wypuściła drapieżny szpon i skurczyła się w ogniu. McReady ruszył pewnie do planowego, bezlitosnego ataku. Bezradny, rozwścieczony potwór cofnął się przed pomrującym palnikiem i pieszczotliwym, liżącym jęzorem ognia. Przez chwilę buntował się jeszcze. Wrzasnął z nieludzką nienawiścią, dotknąwszy lodowatego śniegu. Potem padł pod naporem zwęglającego ciała tchnienia palnika. Pochłoniął go swąd spalenizny, który bezpowrotnie zniknął w antarktycznych śniegach. Lodowaty wiatr szarpał jęzorem ognia lampy. Potwór opadł bezwładnie. Z jego ciała buchnęła smuga oleistego, śmierdzącego dymu...

McReady podszedł w milczeniu do budy. Barclay czekał przy wejściu.

- Nie ma nic więcej? - spytał ponuro olbrzymi meteorolog.

- Nie ma - Barclay potrząsnął przecząco głową. - Nie rozszczepił się?

- Zajmował się czymś innym - zapewnił go McReady. - Kiedy go zostawiłem, był żarzącym się węglem. Cóż on takiego robił?

- Okazaliśmy się bardzo rozsądni - ironicznie zaśmiał się Norris. - Rozwalić iskrowniki, żeby unieruchomić samoloty. Wypruć rury kotłowe z traktorów. I zostawić potwora samego w budzie przez tydzień. Samego i w spokoju.

McReady zajrzał dokładniej do wnętrza. Mimo wyrwanych drzwi powietrze było tam wilgotne i gorące. Daleko w głębi leżały na stole zwoje drutu, nieduże magnesy, szklane rurki i lampy radiowe. Na środku znajdowała się bryła nie ociosanego kamienia. Z jego wnętrza biło zalewające pomieszczenie światło, wściekle niebieskie, bardziej niż oślepiający blask łuku elektrycznego. To stamtąd dochodził lekki szmer. W drugim końcu budy znajdował się jakiś mechanizm z kryształowego szkła, wydmuchanego z niewiarygodną starannością i precyzją, metalowe płytki i dziwaczna, migocząca, niematerialna kula.

- Co to takiego? - McReady podszedł bliżej.

- Zostaw, trzeba to zbadać - mruknął Norris. - Ale domyślam się mniej więcej, co to może być. Energia atomowa. To coś po lewej stronie - to gustowny drobiazg do robienia tego, co ludzie próbowali robić za pomocą stutonowych cyklotronów t tak dalej. Oddziela neutrony od ciężkiej wody, którą potwór uzyskiwał ze znajdującego się naokoło lodu.

- Skąd wziął te wszystkie... Aha, to jasne. Potwora nie można przecież zamknąć ani wpuścić. Przeniknął do schowków z aparaturą. - McReady utkwiał wzrok w przyrządach. - O Boże, jakie umysły musiała mieć rasa...

- Sądzę, że ta migocząca kula jest czystą energią. Neutrony można czerpać z dowolnej materii, a potwór chciał mieć ich zapas. Wystarczy poddać działaniu neutronów dwutlenek krzemu, wapń, beryl - prawie obojętnie co - a energia atomowa zostanie wyzwolona. Ten aparat to generator atomowy.

McReady nagłym szarpnięciem wyciągnął z kieszeni termometr.

- Tu jest blisko pięćdziesiąt stopni mimo braku drzwi - stwierdził. - Nasze ubrania chronią nas do pewnego stopnia przed temperaturą, ale mimo to już się pocę.

- Światło jest zimne - skinął głową Norris. - Sprawdziłem to. Ciepło wydziela ta spirala ogrzewająca pomieszczenie. Miał całą energię, jaką chciał. Mógł sprawić, żeby było tu ciepło i przyjemnie, na miarę wyobraźni swojej rasy. Co powiesz na kolor tego światła?

- Odpowiedź pochodzi spoza naszego układu - skinął głową McReady. - Z gorętszej planety, z której przybyli Oni, a która okrąża jaśniejsze i błękitne słońce.

McReady popatrzył przez otwór drzwi na smugę oleistego dymu, który buchał i rozsnuwał się na wszystkie strony, podrywany podmuchami niosącego śnieg wiatru.

- Więcej wizyt już chyba nie będzie - powiedział. - Wylądował tu przez czysty przypadek i było to dwadzieścia milionów lat temu. Po co on to wszystko zrobił? - Wskazał ruchem głowy na przyrządy.

- A czy zauważyłeś, czym był zajęty, kiedy przyszedliśmy tutaj? - zaśmiał się cicho Barclay. - Spójrz na sufit.

Urządzenie, przypominające plecak, zrobione ze spłaszczonych puszek po kawie, zwisających pasków materiału i skórzanych rzemieni, przylegało do sufitu. Wewnątrz paliło się jaskrawo maleńkie serce wiecznej lampki. Przenikało płomieniem na wskroś drewniane belki, nie paląc ich. Barclay podszedł bliżej, chwycił dwa zwisające paski i pociągnął silnie. Następnie owinał się wokół nich. Niewielki skok przeniósł go po łuku na drugą stronę pomieszczenia.

- Antygravitacja - powiedział cicho McReady.

- Antygravitacja - potwierdził skinieniem głowy Norris. - Tak, zdołaliśmy ich powstrzymać. Nie mieli samolotów ani ptaków. Ptaki nie przyleciały. Za to mieli puszki po kawie, części radiowe, szkło i warsztat mechaniczny na noc. I tydzień... Cały tydzień wyłącznie dla siebie. Jednym skokiem do Ameryki... dzięki antygravitacji zasilanej energią atomową materii. Udało nam się ich powstrzymać. Jeszcze pół godziny... Potwór zaciskał już paski

urządzenia w taki sposób, żeby mógł je na siebie włożyć. My pozostalibyśmy w Antarktyce i strzelali do wszystkiego, co się rusza i przybywa z wielkiego świata.

- Albatros... - powiedział cicho McReady. - Czy sądzisz...

- Z tym urządzeniem, prawie gotowym? Z tą śmiercionośną bronią w ręku? Nie, z łaski Boga, który ma bardzo dobry słuch i słyszy nawet to, co się tutaj dzieje, i dzięki półgodzinnemu zapasowi czasu, zachowaliśmy nasz świat i wszystkie planety naszego układu. Antygravitacja, sam rozumiesz, i energia atomowa. Albowiem Oni przybyli spod innego słońca, z planety spoza naszego układu. Oni przybyli ze świata błękitnego słońca.

Przełożyła Stefania Szczurkowska

Noc

Tłumaczył: Mieczysław Dutkiewicz

Condon wpatrywał się jak urzeczony w okular lornetki, jego cała uwaga koncentrowała się na tamtym jedynym, niemal niewidocznym punkcie, znajdującym się wysoko, na błękitnym niebie. Nieustannie, jakby nie zdawał sobie z tego sprawy, powtarzał tylko: - Mój Boże, mój Boże...

Raptem wzdrygnął się i spojrzał na mnie. Na jego twarzy malowała się straszliwa udręka.

- On już nigdy nie wyląduje tu z powrotem, Don, nigdy już tu nie wyląduje...

Wiedziałem o tym doskonale - tak samo jak o tym, że nie można wiedzieć tego tak no pewno. Uśmiechnąłem się jednak i powiedziałem: - Och, jestem innego zdania.

Jestem raczej przekonany, że wyląduje. Wszystko, co wzbija się do góry, ląduje z powrotem.

Major Condon dygotał na całym ciele. Przez dłuższą chwilę poruszał tylko ustami, zanim zdołał wydobyć z siebie dźwięk.

- Talbot, boję się, panicznie się boję. Wie pan przecież - jest pan jego asystentem - musi więc pan wiedzieć, że on próbuje pokonać siłę ciężenia. Ale człowiek nie jest w stanie tego dokonać... to jest nie w porządku, to nie jest w porządku!

Znowu przywarł do lornetki, z tą samą co przedtem przerażającą zaciekleścią, nie przestając szeptać machinalnie: - To nie w porządku, nie w porządku!

Raptem znieruchomiał, a wraz z nim około tuzina ludzi zgromadzonych na tym zagubionym na odludziu małym lotnisku; w następnej chwili major zachwiał się i runął na ziemię. Nie widziałem jeszcze nigdy nikogo, kto traci przytomność, tym bardziej jeżeli chodzi o oficera odznaczonego medalem za waleczność. Nie pośpieszyłem mu też z pomocą: domyśliłem się, że zaszło coś istotnego.

Sięgnąłem po lornetkę.

Wysoko, bardzo wysoko na niebie widniał ów drobny, pomarańczowy punkcik. Na tej wysokości, gdzie nie ma już niemal-powietrza. Musiał mieć na sobie ubiór stratosferyczny z niewielkim, napędzanym alkoholem grzejnikiem. Na rozległych, pomarańczowych płatach nośnych można teraz było dostrzec niepewne, perlistoszare światełko. Punkcik spadał. Początkowo powoli, wirując bez celu ku ziemi. Potem raptownie opadł i wzbił się ponownie, aby po chwili zacząć spadać ruchem spiralnym.

To było okropne. Wiem, że musiałem jakoś oddychać, miałem jednak wrażenie, jakby wszystko we mnie zamarło. Mimo całej swej prędkości obiekt potrzebował wielu minut, aby przebyć mile dzielące go od Ziemi.

Przez krótką chwilę pilotowi udało się nawet odzyskać panowanie nad maszyną, wprowadzając ją w lot nurkowy. Straszliwa, latająca trumna, mknąca na spotkanie Ziemi z prędkością przekraczającą pięćset mil na godzinę.

Wszystko wokoło zadygotało przy zderzeniu, nawet powietrze. Co do nas, siedzieliśmy już w samochodzie i pędziliśmy przez pole, zanim jeszcze do tego doszło. Siedziałem w samochodzie Boba wraz z Jeffem, jego laborantem - w tym małym Roadsterze, z którego już nigdy nie miał korzystać. Zanim jeszcze wyjechaliśmy z lotniska, strzałka szybkościomierza wskazywała siedemdziesiątkę.

Silnik zawył, kiedy Jeff wcisnął gaz. Z tyłu dobiegał warkot ciężkiego samochodu majora.

Jeff prowadził wóz jak szaleniec, ale ja nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Wiedziałem, że ten samochód zdolny jest dociągnąć niemal do setki, ale wydaje mi się, że tym razem jechaliśmy jeszcze szybciej. Wiatr wyciskał mi z oczu łzy, nie byłem więc pewien, czy widzę dym i płomienie. Właściwie nie powinno to mieć miejsca, skoro w grę wchodziła ropa, ale ten samolot miał już również za sobą inny, nie mniej zdumiewający wyzryn: próbę testu cewki antygravitacyjnej Cartera.

Pędziliśmy prostą, równą drogą przecinającą rozległą krainę, a wiatr zawodził swoje rekwiem. Daleko w przedzie dostrzegłem boczną drogę, wiodącą z pewnością gdzieś tam, gdzie musiał znajdować się teraz Bob. Wzdrygnąłem się, kiedy samochód przyhamował, opony zapiszczały, a mnie wcisnęło w kąt. Znajdowaliśmy się na piaszczystej drodze; wpadliśmy w poślizg i kurczowo chwyciliśmy się oparcia. Jeff skręcił gwałtownie, kierując wóz ku drodze, udeptanej prawdopodobnie przez krowy. Udało się jakby cudem. Zatrzymaliśmy się na ćwierć mili przed maszyną.

Spoczywała na ogrodzonym pastwisku z kilkoma zaledwie drzewami. Przeskoczyliśmy przez parkan i pobiegliśmy co tchu w stronę maszyny. Jeff dobiegł pierwszy, akurat w chwili, kiedy samochód majora zatrzymał się z piskiem hamulców tuż za naszym wozem.

Major był zimny i blady, kiedy dobiegł do nas.

- On nie żyje - stwierdził.

Byłem o wiele bardziej zimny i blady.

- Nie wiem! - jęknąłem. - Jego tam nie ma!

- Nie ma! - Major krzyczał prawie. - Musi tam być... po prostu musi! Nie miał przecież spadochronu, nie chciał go wziąć. Mówią, że nie wyskoczył...

Wskazałem na samolot i otarłem sobie zimny pot z czoła. Było mi zimno, bardzo zimno, dygotałem na całym ciele. Potężny, stalowy dziób pojazdu wbił się w pień drzewa, a następnie w ziemię na głębokość ośmiu, dziewięciu stóp, a ziemia i kamienie rozprysły się pod tym naporem jak rozmiękle błoto.

Płaty nośne leżały po drugiej stronie pola; zmiażdżone, wygięte żdźbła z masywnego aluminium. Usterzenie maszyny tworzyło sylwetkę nieskazitelną - spłaszczony rzut podłużny.

Duża cewka w kształcie torusa z jej dziwnie poskręcanymi, cieniutkimi drutami bizmutowymi była nienaruszona! Całkowicie zniszczona była potężna, aluminiowa konstrukcja nośna; połamana, wygięta na wszystkie strony, roztrzaskane silniki, rozerwany kompresor - natomiast w tej diabelskiej szpuli bizmutowej nie ucierpiał nawet najdrobniejszy drucik.

Dziwił też brak czerwonej masy, która powinna tu być przecież, czerwonej masy, która kiedyś była człowiekiem. Po prostu jej tu nie było. A on nie opuścił maszyny. Niebo było tak jasne, bezchmurne, że trudno by było przeoczyć ten fakt.

On po prostu zniknął.

Oczywiście przeszukaliśmy wrak. Podszedł do nas jeden z farmerów, potem drugi, wszyscy przetrząsnęli okolicę. Następnie zjawili się pozostali farmerzy w starych, sfatygowanych samochodach, ze swoimi żonami i całymi rodzinami, przyglądając się temu, co robimy.

Postawiliśmy właściciela pola na straży i odjechaliśmy z powrotem do miasta, po robotników i samochód holowniczy. Zapadał już zmrok. Było raczej wątpliwe, abyśmy dokonali czegoś przed świtem, odjechaliśmy więc.

Całą piątką - major armii, Jeff Rodney, dwaj faceci z Douglass Company, których nazwisk nie potrafię sobie przypomnieć, oraz ja siedzieliśmy w moim - naszym pokoju. W pokoju, należącym do Boba, Jeffa i do mnie. Upływały godziny, a my siedzieliśmy, usiłując nawiązać rozmowę, zebrać myśli, przypomnieć sobie najdrobniejszy nawet szczegół - i jednocześnie starając się zapomnieć o wszystkich okropnych szczegółach.

Zadzwoił telefon. Drgnąłem, po czym powoli wstałem i podniosłem słuchawkę.

Jakiś nie znany mi głos, beznamiętny i dosyć nieprzyjemny, zapytał:

- Mister Talbot? - Tak.

Był to Sam Genuy, farmer, którego zostawiliśmy na straży.

- Jest tu jakiś facet. - Tak? A czego chce?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, skąd tu się wziął. Jest martwy albo nieprzytomny. Ma na sobie jakiś dziwny kombinezon lotniczy za szklaną płytą na twarzy. Jest cały siny, przypuszczam więc, że nie żyje.

- Wielki Boże! Bob! Czy zdjął mu pan hełm? - krzyknąłem.

- Nie, sir, nie... nie, sir. Zostawiliśmy go tak, jak leżał.

- Ma puste zbiorniki. Posłuchaj pan! Niech pan weźmie młotek, klucz maszynowy, wszystko jedno, co, ale musi pan rozbić tę szklaną płytę na jego twarzy! Tylko szybko! Zaraz tam będziemy!

Jeff biegł już do wyjścia, zanim major i pozostali. Zdążyłem jeszcze chwycić opróżnioną do połowy butelkę szkockiej i wyciągnąłem z szafy butelę z tlenem, ścisnąłem ją pod pachą i wskoczyłem do przepelnionego samochodu akurat w chwili, kiedy Jeff ruszył. Przycisnął klakson i nie odejmował już dłoni.

Torowaliśmy sobie drogę przez zatłoczone ulice i dodaliśmy gazu, kiedy wydostaliśmy się na wolną przestrzeń. Pędziliśmy w kierunku pola farmera. Drogę znaleźliśmy już tak dobrze, że nie musieliśmy nawet zwalniać na zakrętach. Tym razem Jeff przejechał po prostu przez ogrodzenie. Jeden z reflektorów pękł, usłyszeliśmy przenikliwy świst drutu kolczastego, złowieszczy zgrzyt otartej maski i błotników, a w następnej chwili gnaliśmy po nierównym polu.

Na ziemi stały dwie latarnie, inne niosło trzech mężczyzn, pozostali klęczeli obok nieruchomej postaci odzianej w fantastyczny, wydęty, hermetyczny kombinezon stratosferyczny. Spoglądali na nas z rozdziawionymi ustami, po czym ustąpili nam miejsca, kiedy major wyskoczył z samochodu i pognął z whisky ku leżącemu.

Leciałem za nim z butlą tlenową.

Szklana płyta była rozbita, twarz Boba sina i pokryta pianą. W poprzek policzka biegła długa rana cięta - od płyty - krwawiąc lekko. Major uniósł bez słowa głowę Boba, a potem usłyszeliśmy brzęk szkła, kiedy usiłował wlać mu do gardła trochę trunku.

- Proszę poczekać! - zawołałem. Majorze, trzeba mu zrobić sztuczne oddychanie, wtedy dojdzie szybciej do siebie. Tak będzie lepiej. - Major skinął głową i wstał. Z dziwnym wyrazem twarzy pocierał sobie ramię.

- Zimny! - stwierdził, odwracając Boba i siadając mu na plecach. Przytknąłem Bobowi do nosa butelkę z tlenem, a major odwrócił go z powrotem i wpuścił do nosa zimny gaz.

Dziesięć sekund później Bob zakasłał raz i drugi, po czym zaczął oddychać, głęboko i chrapliwie. Kiedy nabrał w płuca tlenu, jego twarz zaróżowiła się natychmiast, a ja stwierdzi-

łem z zaskoczeniem, że chyba - w ogóle nie było wydechu; jego ciało wchłonęło więc tlen bardzo szybko.

Zakasłał ponownie i powiedział: Oddychało by mi się o wiele lepiej, gdybyś zszedł mi z pleców.

Major zerwał się na równe nogi, a Bob odwrócił się i usiadł. Skinął na mnie, bym podszedł bliżej, po czym splunął. - Mnie... nic mi nie powiedział cicho.

- Na Boga, człowieku, co się stało? - dopytywał się major.

Bob milczał przez dłuższą chwilę. Jego oczy spoglądały z dziwnym, jakimś głodnym - wyrazem. Rozejrzał się dokoła, patrząc na drzewa i mężczyzn stojących w milczeniu, na świecące latarnie, a potem na niebo roziskrzone miriadami gwiazd.

- Wróciłem - szepnął. Raptem wzdrygnął się, jakby zmroził go strach, przeraźliwy strach. - Ale... muszę tu być... również potem.

Utkwił wzrok w majorze, po czym uśmiechnął się nieznacznie. Spojrzał na obu mężczyzn z Douglas Compony.

- Wasz samolot był w porządku. Wystartowałem tak, jak to zaplanowaliśmy, wzbiłem się wyżej, gdzie jak sądziłem - powietrze nie jest już tak gęste, a pole z pewnością nie sięga aż do ziemi. Mój Boże! Nie sięga do ziemi! Nie miałem nawet pojęcia, jak daleko sięgało to pole. Dotknęło ziemi - i to dwa razy.

Byłem na pułapie czterdziestu pięciu tysięcy, kiedy zdecydowałem, że nie ma już niebezpieczeństwa i wyłączyłem silnik. Umilkł natychmiast, a cisza przeraziła mnie. Było tak cicho, tak bardzo cicho.

Włączyłem cewkę a dynamotor zaszumiał. Rury zaczęły się nagrzewać. Wtem - trafiło mnie pole. Momentalnie zostałem sparaliżowany, nie miałem najmniejszej szansy, aby wyłączyć prąd, chociaż od razu się zorientowałem, że coś nie jest tu w porządku. To było straszne. Nie miałem jednak innego wyjścia, byłem sparaliżowany, siedziałem więc i patrzyłem tylko, jak strzałki przyrządów przesuwają się coraz wyżej, wyżej niż powinny.

Zorientowałem się, że cewka działa wyłącznie na mnie, jako że siedziałem tuż obok. Wpatrywałem się w skale tak długo aż zaczęły blednąć i wydały mi się przezroczyste, nierzezywiste, dojrzałem natomiast czyste niebo znajdujące się za nimi; a potem przez ułamek sekundy odniosłem wrażenie, jakbym patrzył na spadający z niezwykłą prędkością samolot. W następnej chwili światło znikło, tak jak słońce kryjące się ha niebie.

Nie wiem, jak długo znajdowałem się w tym stanie paraliżu, w jakim była tylko pustka - ani ciemności, ani światła, ani czasu, ani jakiegokolwiek formy - zdażyłem jednak zaczerp-

nąć kilkakrotnie powietrza. Wreszcie pustka przybrała ponownie kształt i jakby stwardniała pode mną. Czerwone światełko zabłysło nieśmiało. Uświadomiłem sobie, że lecę w dół.

Pomyślałem od razu o czterdziestu pięciu tysiącach stóp, dzielących mnie od ziemi i wzdygnałem się przerażony. W tej samej chwili wylądowałem w głębokiej warstwie białego śniegu, na który padał czerwony, ogarniający cały świat blask.

Zimno, zimno - pochwyciło mnie to niczym pazury dzikiego zwierza. Co za ziąb!

Chłód śmierci. Przedostawał się przez gruby, szczelny kombinezon, atakował złośliwie. Zmarzłem tak, że nie byłem nawet w stanie odkręcić pojemników z alkoholem. Wiecie przecież, że miałem ze sobą zbiorniki z alkoholem i katalizatory jako ogrzewanie, gdyż nie chciałem wokół siebie żadnego zbędnego pola elektrycznego. Używałem nawet silnika Diesla zamiast benzynowego.

W tym momencie byłem z tego zadowolony. Wiedziałem, że znajduję się w piekielnie zimnym i pustym miejscu. Niebo było czarne, bardziej czarne niż najczarniejsza noc, a jednak przede mną rozpościerało się pole śniegu, bezkresna biel zmacona światłem czerwonym jak krew. Cień u moich stóp pełzył w jeszcze ciemniejszą czerwień. Odwróciłem się. Jak okiem sięgnąć, widać było niskie, łagodne pagórki; niemal równinę - czerwoną równiną śniegu, skąpaną w poświacie zachodzącego słońca.

W czwartym kierunku dostrzegłem wznoszący się mur - mur wysoki na pół mili, przy którym chiński mur wyglądałby jak niepozorne ogrodzenie o barwie krwistoczerwonej z metalicznym połyskiem. Przecinał w poprzek cały horyzont i sprawiał wrażenie, jakby był oddalony najwyżej o sto metrów. Widoczność była doskonała. Zwiększyłem płomień w grzejniku alkoholowym i poczułem się nieco lepiej.

Coś szarpnęło mnie za głowę jak ręka olbrzyma - nagła myśl. Wpatrzony w słońce, przełknąłem ślin. Było czterokrotnie, albo nawet sześciokrotnie większe od słońca, jakie znałem. I wcale nie miało zamiaru zachodzić. Było oddalone od linii horyzontu o czterdzieści pięć stopni i miało czerwony kolor.

Krwistoczerwony. Nie czułem jednak najmniejszego śladu promieniowania cieplnego.

To słońce było zimne!

Po prostu przyjąłem machinalnie, że mimo wszystko znajduję się nadal na Ziemi, teraz jednak zrozumiałem, że jest inaczej. Z pewnością była to inna planeta innego słońca, zamrznięta planeta, gdyż tamten śnieg był zamrzniętym powietrzem. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Zmarznięta planeta martwego słońca.”

A potem spojrzałem na czarne niebo nade mną; na całym tym rozległym, czarnym sklepieniu nie było nawet trzech tuzinów gwiazd. Nikłe czerwone gwiazdy z jedynym słoń-

cem, rzucającym się w oczy ze względu na swą jasność. Żółtawo - czerwone słońce o światłości nie większej niż dziesiąta część naszego, tu jednak sprawiało wrażenie potwora. Był to inny kosmos, martwy. Gdyż jeżeli tamten śnieg był zamrożonym powietrzem, to atmosfera musiała składać się z neonu i helu. Powietrze było tak przejrzyste, że nie powstrzymywało światła gwiazd, a tamto słabe, czerwone słońce nie ciemniało. Gwiazdy zniknęły.

I oto mój umysł zadziałał sam z siebie; odczułem strach.

Strach? Bałem się tak straszliwie, że opadły mnie mdłości. W tym momencie zrozumiałem bowiem, że już nigdy nie wrócę. Już przedtem, czując chłód, zacząłem się zastanawiać, na ile wystarczą mi butle z tlenem, czy zdążę wróci, zanim się wyczerpią. Teraz przestałem się tym przejmować. Był to po prostu czynnik ograniczający w sprawie już rozstrzygniętej, nastawienie bomby zegarowej. Tyle czasu pozostało mi jeszcze do śmierci.

Moja świadomość wynajdywała problemy, po prostu tak dla siebie samej, oraz dostarczała odpowiedzi, których nie pragnąłem, odpowiedzi, jakich w ogóle nie chciałem znać. Z nie wiadomo jakiego, powodu, mój umysł obstawał przy tym, że to Ziemia, i to przekonanie umacniało się coraz bardziej. Zgadza się. To Ziemia. To stary Sol. Stary... stary. Sol. Cewka wykrzywiła oś czasu, nie podzielała jednak na siłę ciężenia. Mój umysł wydedukował to zgodnie z logiką, zimną jak owa planeta.

Jeżeli jednak wykrzywiła czas, a to była Ziemia, to musiała zniekształcić czas w stopniu niewyobrażalnym, W stopniu, jaki dla naszej świadomości jest równie bez znaczenia, co odległość wynosząca sto milionów lat świetlnych. To było wprost niesamowite - przekraczało zdolność pojmowania. Słońce było martwe. Ziemia też.

A przecież już w naszym czasie Ziemia miała dwa miliardy lat, w trakcie zaś tego geologicznego czasu Słońce nie zmieniło się w sposób wymierny. Ile więc minęło czasu od mojej epoki? Słońce było martwe, tak samo gwiazdy. A więc, pomyślałem, upłynęły już miliardy, miliardy lat. Tak myśląc, nie doceniałem jeszcze owego zjawiska.

Świat był stary... stary... stary. Nawet skały i grunt emanowały jakąś przytłaczającą aurę niewiarygodnej starości. To wszystko było stare, starsze niż... właśnie, niż co? Niż góry? Góry? Do diabła, przecież one powstawały i ginęły, powstawały ponownie i niszczały, milion razy albo nawet tuzin milionów!

Stare jak gwiazdy? Nie, to też nie tak. Gwiazdy były przecież martwe.

Znowu spojrzałem na mur z metalu i podszedłem do niego, a aura starości owiała mnie i szarpnęła, usiłując powstrzymać. Zimny, przenikliwy wiatr świstał z oburzeniem, uderzając o mnie i targając upiornymi dłońmi milionów, milionów, milionów, zrodzonych w niezliczonych eonach przed moim narodzeniem, żyjących następnie i zmarłych.

Idąc dalej, rozmyślałem. Nie mogłem jednak myśleć swobodnie, gdyż martwa aura martwej planety owiewała mnie nadal. Starość. Gwiazdy właśnie umierały, skulone gdzieś daleko w kosmosie, jak zgrzybiali mężczyźni, którzy tulą się do siebie w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Galaktyka skurczyła się, zmaląła, mierzyła teraz niecałe tysiąc lat świetlnych, odległość między gwiazdami można było liczyć zaledwie na mile, chociaż dawniej były to lata świetlne. Wspaniały, dumnie rozpościerający się wszechświat, jaki znałem, jaki rozciągał się na co najmniej milion milionów lat świetlnych, jaki miotał promieniami energii poprzez kosmos, miliony milionów ton on już po prostu... nie istniał.

Był to już tylko konający skąpiec, który ostatnie resztki swojej energii zgromadził na niewielkim, ciasnym terenie. Był złamany i rozbity. Przed tysiącem miliardów lat kosmiczna konstanta wypadła z tego złamanego wszechświata.

Kosmiczna konstanta rozpędzająca z coraz większą prędkością olbrzymie galaktyki, nie miała tu dla siebie miejsca. Sprawiała, że wszechświat rozpadał się na cząstki tak długo, aż każda z nich poznała chłód i samotność, po czym zamknęła nad sobą kosmos, aby samej stać się wszechświatem, podczas gdy płonące galaktyki znikwały jedno za drugą.

To wszystko działo się tak dawno, że zdążyło już nawet się zatrzeć pismo pozostawione w tkance kosmosu. Pozostała jedynie konstanta grawitacyjna, skupiająca wszystko wokół siebie. Ale i tak galaktyka umierała, skurczona i stara, zwietrzała mumia.

Nawet atomy umarły. Światło było zimne. Czerwony blask sprawiał, że wszystko wydawało się starsze, zimniejsze. Wszechświat pozbawiony był młodości, nie miałem tu czego szukać, a słaby, oburzony szum niezwykle zimnego wiatru wokół mnie rozwiewał śnieg w niemym, daremnym proteście, sprzeciwiając się mojemu wtargnięciu z czasu, kiedy wszystko było jeszcze młode.

Szedłem coraz dalej, a metalowy mur cofał się przede mną niczym miraż na pustyni. Byłem tak zaszokowany wiekiem tego tworu, że przestałem myśleć; po prostu szedłem dalej.

Mimo wszystko zbliżałem się do niego. Mur istniał naprawdę. Kiedy jednak zbliżyłem się jeszcze bardziej, jego połysk zgasł, tak samo jak resztki mojej nadziei. Myślałem, że natknę się za nim na jakąś żywą istotę. Ci, którzy zdołali postawić taką budowlę, mogliby żyć nawet tu. Nie wolno mi jednak było stanąć, nie przerywałem marszu. Mur był połamany i popękany. Nie był to mur, jaki dostrzegłem, lecz ciąg połamanych murów, zlewających się w dali w gładką fasadę.

Nie istniały tu warunki atmosferyczne, które powodowałyby ich starzenie, jedynie słabe ruchy nikłych, martwych wiatrów z neonu i helu, słabe i łagodne - tak martwe i ociążałe jak sam wszechświat. Miasto nie żyło już od kilkunastu miliardów lat, było martwe dziesięć-

ciokrotnie dłużej, niż żyła nasza planeta. Nic go jednak nie zniszczyło. Ziemia była martwa - zbyt martwa, aby znosić dręczące męki życia. Martwe było też powietrze, zbyt martwe, by usunąć metal.

Ale przecież sam wszechświat też był martwy. Brakowało promieniowania kosmicznego, mury nie zostały więc zrównane przez rozpad atomu. Kiedyś był tu mur, jedyny mur z metalu. Coś może ostatni wędrujący meteor - uderzyło weń dawno, niewyobrażalnie dawno temu, niszcząc go. Przeszedłem przez olbrzymią wyrwę. Miasto okrywał śnieg, miękki, biały śnieg. Duże czerwone słońce wisiało spokojnie tam, gdzie zazwyczaj. Od dawna już ustała niezmordowana rotacja Ziemi - od bardzo dawna.

Nade mną znajdowały się martwe ogrody. Powlokłem się w ich stronę. To one utrzymywały mnie w przekonaniu, że było to miasto ludzi. Tu i ówdzie wznosiły się zamrożone pagórki, mogące być dawniej ludźmi. Drobne istoty, na których twarzach zastygł na zawsze strach, przytulone bezradnie do czegoś, co mogło być kiedyś grzejnikiem. Martwe może już od ostatniej na starej Ziemi burzy, która wydarzyła się przed miliardami lat.

Zszedłem na dół. Miasto było olbrzymie, zdawało się ciągnąć w nieskończoność, rozrosnięte w swej martwocie. Maszyny, wszędzie maszyny. I one jednak były martwe. Zszedłem głębiej, gdzie spodziewałem się znaleźć jeszcze trochę światła i ciepła. Nie wiedziałem wtedy, od jak dawna panowała tam śmierć; zwłoki wyglądały na świeże, dzięki chroniącemu działaniu wiecznego chłodu.

Na dole było ciemniej, krwistoczerwone światło sączyło się tu jedynie przez szpary. Schodziłem coraz głębiej, aż znalazłem się poniżej poziomu martwej powierzchni. Również tu biał się śnieg. I oto nagle odkryłem przyczynę tej ostatniej raptownej śmierci. Teraz rozumiałem już wszystko. Początkowo nie mogłem ogarnąć tego umysłem, gdyż maszyny, jakie zobaczyłem, przewyższały wszystko, co można było sobie wyobrazić; były doprowadzone do perfekcji, same się naprawiały, zaopatrywały w energię, rozmnażały się. Mogły wytwarzać duplikaty swoje - lub maszyn, jakie były akurat potrzebne.

Ich konstruktorzy nie uporali się jednak z kilkoma sprawami, nie mieszczącymi się w najśmielszej fantazji, fantazji, jaka zaprojektowała owe miasta. Musieli sobie wprawdzie wyobrazić jakąś przyszłość, ale nie taką, w której ginęły nie tylko Ziemia i Słońce, ale również cały wszechświat.

Zabiło je zimno. Istniały urządzenia do ogrzewania, których zadaniem było utrzymywanie normalnej temperatury niezależnie od najbardziej szaleńczych zmian pogody, jednak w każdej maszynie elektrycznej znajdują się oporniki dbające o równowagę oporu, jak również równowagę - cewek indukcyjnych z kondensatorami i innymi induktorami. Zimno zaś, nagie

zimno kosmosu, sprawiło, że zamarzyły. Mimo instalacji ogrzewania zimno dostało się do wewnątrz, zimno, jakie cewki indukcyjne uczyniły nadprzewodnikiem! To właśnie zniszczyło miasto.

Nadprzewodność - tak jakby zlikwidować tarcie, podstawę wszelkich rzeczy. Opór i tarcie muszą istnieć jako fundament wszystkiego, siła, przytrzymująca olbrzymie sworznie i hamująca maszyny.

Opór elektryczny zginał w zimnie, a owe cudowne maszyny zatrzymały się, aby mogły zostać wymienione części zdefektowane. A kiedy je wymieniono, zniszczyły się również te nowe. Ile mogło upłynąć miesięcy tego ustawicznego zatrzymywania, wymiany, rozruchu, zatrzymywania, wymiany, zanim olbrzymie maszyny, pokonane na zawsze, poddały się w końcu temu, co nieuniknione? Zwyciężyło je zimno, pokonując uprzednio największą przeszkodę, jaką zbudowali kiedykolwiek inżynierowie - opór elektryczny.

Całą wieczność, setki miliardów lat, musiała trwać uporczywa walka z naturą, ustawiczna wymiana zniszczonych części. W końcu olbrzymie urządzenia energetyczne, zasilane przez rozpad atomów, zostały zmuszone do wiecznego bezwładu.

Nie znaczy to jednak, że wyleciały w powietrze. Nie dostrzegłem nigdzie ani jednej zniszczonej maszyny: zatrzymywały się zawsze automatycznie, kiedy ich dalsza praca stawała się niemożliwa. Nagromadzona energia, mająca wprawić w ruch maszyny po ich naprawie, już dawno się wyczerpała. Wiedziałem, że stanęły na zawsze.

Wyszedłem na zewnątrz, chcąc zobaczyć coś więcej, zanim i mnie dosięgnie nieuchronny koniec. Szedłem przez miasto śmierci. Wszędzie stały niewielkie automaty, maszyny do czyszczenia, utrzymujące dawniej to miasto w porządku i czystości - teraz bezużyteczne, porzucone, przytłoczone wiecznością i zimnem.

Musiały funkcjonować jeszcze przez wiele lat awarii dużych centralnych stacji energetycznych, bowiem każda z nich wyposażona była we własny magazyn energii i tylko dorywczo musiała być ładowana ze stacji centralnych.

Miejsca, gdzie doszło do awarii, można było dostrzec na pierwszy rzut oka, wokół nich stały nieruchomo maszyny naprawcze, jakby gotowe do akcji, oraz tak samo zamarłe samochody ze starannie ułożonymi na nich śmieciami. Śmiertelne rany widniały oto w całej swej okazałości.

Udałem się znowu pod górę. Na najwyższy punkt w mieście. Była to długa, nie kończąca się, trudna wspinaczka obok wijących się na przestrzeni pół mili ramp, opuszczonych, martwych lasów, opustoszałych sklepów i restauracji, nieruchomych samochodów.

Szedłem wyżej i wyżej, w stronę zieleniejących ogrodów, sztywnych i zamarzniętych. Zawalenie się dachu musiało spowodować nagły ziąb, gdyż liście, owiano białym szronem, zachowały swa zieleń. Można jeszcze było rozpoznać kwiaty, zachwycające rozkwitem. Sprawiały wrażenie, jakby żyły, a jednak pod tą powłoką zimna było to niemożliwe.

- Czy siedzieliście kiedyś obok trupa? - Bob podniósł na nas wzrok, ale jego oczy spoglądały gdzieś dalej. Co do mnie, zdarzyło mi się to raz w moim rodzinnym mieście, gdyż taki był zwyczaj. Siedziałem wtedy z kilkoma sąsiadami, podczas gdy ten człowiek umierał na moich oczach. Umarł, a ja siedziałem przez całą noc, sąsiedzi natomiast wychodzili jeden po drugim. Zapadła cisza. Cisza śmierci.

Tu zdarzyło mi się to po raz drugi. Znowu siedziałem obok trupa. Owym trupem był martwy świat, martwy wszechświat. Tu nie musiała zapadać cisza; zapadła już przecież przed miliardem lat - i tylko moje przybycie zbudziło słabe, protestujące duchy martwych już od eonów nadziei, skłoniło je do cichego, ale żarliwego protestu, jakiego nie usiłowały nawet pochłonać wichury, martwe wichury martwych gazów.

A z góry, poprzez popękany kryształ dachu, gasnące słońca spoglądały na martwe miasto. Nie mogłem tu pozostać. Zszedłem znowu na dół. W zbiorowisko budowli z błyszczącego metalu, odbijających mizerne krwawe światło słońca mocnym kolorem karminowym. Schodziłem coraz niżej, aż do maszyn. Ale nawet tam beznadziejność zdawała się przybierać na sile. Znowu byłem świadkiem rozpaczliwej walki wiernych maszyn, które jeszcze raz usiłowały naprawić się same, aby spełnić swój obowiązek wobec swych twórców, martwych już od niezliczonych eonów.

Wszystkie te próby zakończyły się jednak fiaskiem. Tym razem nieodwołalnym.

Teraz nawet one - nie znające śmierci maszyny - były martwe.

Ponownie wyszedłem na zewnątrz, zagłębiając się w bezkresne korytarze na skraju miasta; byle dalej od tych maszyn. Przechodziłem obok sklepów, gdzie towary, nietknięte w tym chłdzie przez czas, nadal kusily ludzi, jakkolwiek obcych; twórców maszyn, których już nie było. Wszedłem do jednego ze sklepów, choć zobaczyć, jakie towary były wówczas poszukiwane.

Omam nie wykrzyknąłem, kiedy wewnątrz coś się poruszyło. Nawet przez kombinezon dobiegły mnie dziwne, nieokreślone odgłosy, jakie rozległy się w rozrzedzonym powietrzu. To coś zatoczyło się i runęło na ziemię. Nie miałem pojęcia, jakimi komórkami magazynującymi dysponowano tu, w każdym razie były wspaniałe, nie mieszczące się nawet w ramach wyobraźni. Owa energia, która w jakiś sposób wyzwoliłem, wchodząc tu, stanowiła ostatnie

resztki, zachowane przez okres równy wiekowi naszej planety. Jego głos umilkł na zawsze, ja natomiast wyszedłem na zewnątrz.

To coś umarło na moich oczach, budząc me zaciekawienie. Cała ta sprawa intrygowała mnie, i było to silniejsze niż przygnębienie.

Nadal istniała tu jeszcze energia, zmagazynowana w niewyobrażalny sposób.

Rozejrzałem się baczniej, dokładniej. Moja uwagę przykuł ekran, jaki dostrzegłem w pewnym biurze. Z pewnością był to rodzaj telewizora. Dotknąłem jeden z przycisków. Coś zaszumiało. Łagodny szum!

W mojej świadomości zaczął się momentalnie tłoczyć obraz systemu takich ekranów.

Na pewno mieściło się tu gdzieś olbrzymie, centralne biuro z nadzwyczajnymi akumulatorami, o takiej mocy, że nawet drobny ułamek, jaki zachował się do dziś, był duży. System magazynowania nieosiągalny dla maszyn naprawczych - bezradnych, zrezygnowanych.

W tym momencie odżyłem na nowo, zbudziła się we mnie nadzieja. Widziałem szereg guziczków i podziałek, jakieś nieznane przyrządy. Puściłem przycisk, jaki uprzednio wcisnąłem, i oto stałem rozdygotany, zastanawiając się, czy można jeszcze mieć nadzieję.

Ale czy można się było nadal łudzić? Miasto było martwe. Na domiar złego było martwe już od dawna, od niewyobrażalnie długiego czasu. Tak jak cała planeta. Z kim więc miałbym nawiązać kontakt? Przecież na całej planecie nie było nikogo?

Jakież więc miało to znaczenie, że istniał tu system komunikacji? Spojrzałem jeszcze raz na przyrządy. A zresztą, nawet gdyby taki system istniał-w jaki sposób mógłbym z niego skorzystać, zinterpretować? Z jednej strony dostrzegłem coś, co przypominało mi tarczę telefonu. Wskazówka nad metalową płytą, na której widniały wygrawerowane kółka symbole. Było ich dziewięć. W tej chwili strzałka wskazówki znajdowało się nad jednym z nich: pierwszym albo ostatnim.

Niezdarnie dotknąłem palcem tym pod grubą rękawicą jednego z symboli. Nieoczekiwanie rozległ się trzask, a ekran rozjaśnił się! Była to projekcja, ale jaka! Przed moimi oczami obracała się trójwymiarowa kula, wolno i majestatycznie. I raptem zrozumiałem. Wskazówka była po prostu przełącznikiem!

Teraz pojąłem znaczenie symboli. Było ich dziewięć! Wcisnąłem je jeden po drugim i oto na ekranie pojawiło się dziewięć kul, każda inna.

Zacząłem się zastanawiać. Dziewięć kul. Dziewięć planet. Jako pierwsza została ukazana Ziemia - planeta nieznana mi, ale porównując wielkości oraz pozycję przełącznika byłem pewien, że to właśnie Ziemia. A potem po kolei osiem pozostałych planet.

A więc - może jednak życie istniało? Tak. Gdzieś, na którymś z tych dziewięciu światów życie prawdopodobnie istniało.

Ale gdzie? Merkury - znajdujący się najbliżej Słońca? Nie, Słońce było przecież martwe, zbyt zimne, by emitować ciepło. A Merkury był zbyt mały. Rozmyślając tak, uświadomiłem sobie, że jakiegokolwiek środki służyły tu do utrzymywania komunikacji, niezbędna była niesłychana moc. Jeżeli te niewiarygodne komórki magazynujące zdobyłyby się na jedną akcję, to z pewnością nie na więcej.

Przeczuwałem, że ten aparat może nie mieć w ogóle oporu elektrycznego.

Niewykluczone, że występuje tu tylko prąd zmienny o dużej częstotliwości, a używane są wyłącznie kondensatory i induktry. Nadprzewodność nie byłaby więc przeszkoda, wręcz przeciwnie. Tu było inaczej, niż w przypadku olbrzymich maszyn na prąd stały.

Ale gdzie miałem spróbować? Jupiter? Był duży. I nagle znalazłem rozwiązanie.

Zimno zniszczyło maszyny, unieruchomiło je w ten sposób, że uczyniło je przewodnymi. Dlatego, że ich konstrukcja nie przewidywała zimna. Ale maszyny - na przykład - na Plutonie musiały być przystosowane właśnie do takich warunków atmosferycznych! Przecież tam było stale zimno.

Utkwiłem w maszynie wzrok tak przenikliwy, że już sama jego moc powinna była wystarczyć, by przenieść go do Platona. To była już jakaś nadzieja. Jedyna nadzieja. Ale - w jaki sposób wysłać tam sygnał? Nie rozumiem go! Nawet, jeżeli ktoś się tam znajduje.

Pozostało mi tylko zgadywać - i mieć nadzieję. Wiedziałem, że musi istnieć jakaś możliwość, aby wezwać na pomoc istotę rozumna. Na tarczy widniały cztery potrójne szeregi małych guziczków. A więc system duodecymalny.

Problemy komunikacji międzyplanetarnej! Czy coś takiego istniało już kiedykolwiek? Problem anachronizmu, w zmarłym mieście na martwej planecie szukać życia, za wszelką cenę.

Dwa guziki znajdowały się nieco na uboczu, z dala od tamtych dwunastu: jeden zielony, drugi czerwony. Musiałem więc znowu zgadywać. Na każdym z nich dostrzegłem jakiś skomplikowany układ symboli, przekręciłem więc wskazówkę na prawo, w kierunku Plutonu, zastanowiłem się przez chwilę, po czym skierowałem ją w stronę Neptuna. Pluton znajdował się dalej. Neptun był wystarczająco zimny; maszyny mogły tam jeszcze funkcjonować, a nawiązanie kontaktu z tą odległą planetą nie kosztowałoby może resztek energii.

Wcisnąłem zielony symbol, mając nadzieję, że dobrze odgadłem: kolor czerwony oznaczał zawsze niebezpieczeństwo i kłopoty. Zielony był więc sygnałem zewowym.

Nic się nie działo. Widocznie sam zielony guzik nie wystarczał. Nacisnąłem go jeszcze raz, ale razem z tamtym, który nacisnąłem jako pierwszy.

Aparat zaszumiał znowu, ale teraz dźwięk był niższy, a po nim nastąpił krótki, urywany trzask. Zielony guziczek wyskoczył z powrotem. Odpowiadający Neptunowi przycisk pod wskazówką zaświecił się słabo, szara poświata rozjaśnił się też ekran. A potem szum stał się nieregularny, jak gdyby walczył z jakąś przeszkodą, ekran zmatowiał, światelko kontrolne przy guziczku oznaczającym Neptuna zaczęło gasnąć. Sygnał został wyemitowany - wysłany w kosmos.

Przez dłuższą chwilę stałem nieruchomo, wpatrując się w ekran i przyciski. Ekran matowiał coraz bardziej; energia była na wyczerpaniu, ostatnie resztki zostały wystrzelone w kosmos.. Och! - wyjęczałem. - To beznadziejne, to beznadziejne...

Domyślałem się, że potrzeba kilku godzin, aby sygnał dotarł do tak odległej planety, mimo iż leciał z prędkością światła. Ale mechanizm, który miał to sprawić, mógł przecież odmówić posłuszeństwa z powodu braku energii.

A jednak stałem tak długo, dopóki jęczące silniki nie umilkły, a ekran nie zgasł zupełnie. Puściłem przycisk i cofnąłem się do tyłu, jakby oszołomiony całkowitym fiaskiem nadziei; jaka od samego początku graniczyła z szaleństwem. Na wszelki wypadek przycisnąłem jeszcze raz symbol Neptuna. Ale zasób energii był już tak nikły, że nawet światelko kontrolne nie zaświeciło się tak, jak powinno.

Wyszedłem na zewnątrz. Zgorzkniały. Zrozpaczony. Powali zacząłem wspinać się na górę, w stronę ginącego Słońca, wijącymi się rampami. Nic śpieszyłem się; pośpiech właściwy jest tylko życiu, a ja byłem przecież jednym z umarłych.

W górze dostrzegłem ławkę, metalową ławkę stojącą pośród przepychu barw zamarzniętych kwiatów. Usiadłem na niej i ogarnąłem spojrzeniem cały zamarznięty świat i widniejące na horyzoncie ginące czerwone Słońce.

Nie wiem nawet, ile czasu tak siedziałem. A potem do mojej świadomości doszedł szept.

- Szukaliśmy cię obok urządzenia telewizyjnego.

Zerwałem się na równe nogi i rozejrzałem dokoła.

To coś unosiło się w powietrzu błyszczący pojazd z metalu, rubinowoczerwony, długi na dwadzieścia stóp, o średnicy może dziesięciu stóp. Z jego luk wydobywało się jasne, ciepłe, pomarańczowe światło. Oszołomiony, nie mogłem oderwać od niego wzroku.

- A więc... a więc aparat funkcjonował! - wykrzyknąłem.

- Promień dysponował jeszcze energią wystarczającą na tyle, aby zaktywizować wzmacniacze po dotarciu na Neptuna - odparła istota z pojazdu.

Nie widziałem jej, uświadomiłem sobie też, że jej nie słyszę, nie było to jednak dla mnie niespodzianka.

- Twój zasób tlenu jest już na wyczerpaniu, myślę również, że cierpi na tym twoja świadomość. Powinieneś przejść do śluzy, tam jest dosyć tlenu.

Nie miałem pojęcia, skąd o tym wie, ale moje wskaźniki potwierdziły to: zapas tlenu kończył się. Mógłby jeszcze wystarczyć na godzinę, gdybym otworzył do końca wentyle, ale był to już powód do niepokoju.

Wszedłem do środka. Nie posiadałem się z radości, byłem szczęśliwy. A więc jednak życie istniało. Wszechświat nie był tak martwy, jak przypuszczałem. Może Ziemia, ale też dlatego, że taka podjęła decyzję! Mieli statki kosmiczne!

Przeszedł mnie osobliwy dreszcz, kiedy znalazłem się już w środku, kiedy przekroczyłem próg śluzy. Drzwi zasunęły się za mną z piskiem, usłyszałem trzask, po czym zajęczała pompa i niemal w tej samej chwili rozsunęły się wewnętrzne drzwi. Wszedłem - i od razu zakręciłem swój alkoholowy grzejnik. Było tak ciepło; ciepło, widno i dużo tlenu!

Wkrótce musiałem - rozpiąć kombinezon, a następnie zdjąć go w ogóle. Odetchnąłem głęboko. Powietrze było czyste i słodkie i ciepłe, żywe, pachniało tak świeżo, jak gdyby dopiero co wiało przez mile po zielonych, nagranych przez słońce polach.

Dopiero teraz rozejrzałem się za istotą, która mnie tu sprowadziła. Nie było jednak nikogo. W przedzie pojazdu, przy aparaturze kontrolnej, unosiła się w powietrzu metalowa kula o średnicy czterech stóp, połyskująca ciepła, złocista poświata. Światło pulsowało w rytm myśli przybysza, raz wolniej, raz szybciej.

Wiedziałem, że to właśnie te wypowiedzi dochodzą do mnie.

- Spodziewałeś się człowieka? odebrałem myśl. - Ludzi już nie ma, i to od czasu, jakiego nie ogarnąłbyś swoją świadomością. Ach tak, dysponujesz środkami matematycznymi, aby wyrazić ten czas, ale nie potrafiłbyś go pojąć. A więc to nie miałyby żadnego sensu.

Spoglądałem na kulę i rozmyślałem. Skąd pochodziła? Czy była to istota w pancerzu, czy też maszyna doprowadzona do perfekcji?

Czułem, jak obserwuje moją świadomość, podczas gdy to złociste światło pulsowało. I nagle zapragnąłem wyrzeć przez luki, po których krążyły z nieopisaną prędkością słabe, czerwone promienie słoneczne. Już od dawna straciłem z oczu Ziemię. A teraz dostrzegłem czerwoną, słabo niezwykle słabo świecącą tarczę, i spojrzałem z czcią na Neptuna.

Planeta była jeszcze słabo widoczna, chociaż zbliżyliśmy się już do niej na tuzin milionów mil. Był to świat klejnotów. Miasta - owe wielkie, wspaniałe miasta - błyszcząły nadal, połyskiwały w miękkiej, złocistej poświacie, pod która można było dostrzec twardszy, jaśniejszy błękit lamp rtęciowych.

- Jesteśmy maszynami - odebrałem kolejną myśl. - Najwyższa faza rozwoju maszyn ludzkich. Kiedy się zjawiliśmy, człowieka już prawie nie było.

Nasze doświadczenia, nabyte w ciągu niezliczonych megalat, jakie minęły od tamtej pory, pozwoliłyby ocalić gatunek ludzki, jednak wtedy przekraczało to nasze możliwości. Ale może i lepiej, i mądrzej, że człowiek wyginał wówczas, niż gdyby miał upaść tak nisko, jakby to stało się w końcu jego udziałem. Ewolucja jest rozwojem dokonanym pod naciskiem. Dewolucja to stopniowy upadek, który ustaje, gdy nie ma nacisku - i jest to proces bez końca. Życie w tym systemie ustało zamierzchną nieskończoność, której nie potrafię wydzielić w mojej pamięci, w moim rodzaju pamięci, jako że dysponuję pamięcią tych wszystkich, którzy byli przede mną i których teraz zastąpiłem. Nie potrafię jednak sięgnąć pamięcią do czasu, o którym myślisz, czasu, kiedy gwiazdozbiory...

Wszelkie próby są bez sensu. Tamte wspomnienia zagrzebane są pod innymi, tak jak tamte z kolei pod balastem miliardów wieków.

- Jesteśmy teraz w... - tu wymienił nazwę miasta, jakiej już nie pamiętam. - Musisz jednak wrócić na Ziemię w ciągu siedmiu i jednej czwartej twoich dni, gdyż oś magnetyczna sięga tak daleko wstecz w załamującym się polu. Sądzę, że będę w stanie cię tam wyemitować.

I w ten sposób znalazłem się w tamtym mieście, żyjącym mieście maszyn, które istniało już w czasach, gdy wszechświat był jeszcze młody.

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że owa planeta - kiedy cały wszechświat zniknie, kiedy resztki Słońca będą już czarne i zimne, będą kruszejącym pyłem w cząstce kruszejącego wszechświata - że owa planeta wraz ze swoimi mechanicznymi miastami będzie żyła nadal, stanowiąc ostatni punkt ciepłego światła w martwym już od dawna wszechświecie. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

- Nadal zadajesz sobie pytanie, dlaczego pozwoliliśmy wyginać rasie ludzkiej - odezwała się maszyna. - Tak było najlepiej. Za niecały milion lat człowiek, utraciłby swój wysoki status. Tak było najlepiej.

My musimy iść dalej. Nie możemy skończyć jak wy. U nas odbywa się to automatycznie.

Wtedy potrafiłem to zrozumieć: tę ślepa, bezcelową kontynuację mechanicznych miast. Nie posiadały żadnej inteligencji, jedynie funkcje. Maszyny - owe żywe, myślące, rozumne istoty - miały tylko jedną funkcję: skonstruowane były w ten sposób, by były wiecznie ciekawe, by stale sprawdzały, wykrywały, to dążenie zaś nie miało sensu, było bowiem nieskończone. Miasta walczyły stale tylko ze ślepym niszczeniem zawinionym przez naturę, życie, rozkład.

Ale w tej walce miały przynajmniej przeciwnika, dopóki istniały. Inteligentne - nie, niezupełnie inteligentne, raczej ciekawe - maszyny nie miały przeciwników.

Musiały być ciekawe, stale badać. I czyniły to przez niewyobrażalnie długi czas, aż nie było już niczego, co mogłoby je zainteresować. Ktokolwiek, lub cokolwiek, je skonstruował, obdarzył je funkcją, zapomniał jednak o celu. Ich jedyna ciekawość polegała na zadawaniu sobie pytania, czy istnieje gdzieś coś, czego by można się nauczyć.

A więc to - i problem, którego nie chciały rozwiązać, ale musiały próbować, tak bowiem ślepo funkcjonowała ich struktura.

Te wieczne miasta były ograniczone. Maszyny dostrzegły już ową granicę, a tym samym nadzieję, że wreszcie jej ulegną. Pracowały posiłkując się energią atomu.

Ale masy słoneczne były jeszcze nadal ogromne - chociaż martwe z powodu braku energii. Masy planet były jeszcze również nadal ogromne - ale i one były martwe z braku energii.

Maszyny na Neptunie zaopatrzyły mnie w pożywienie i napój, dziwne syntetyczne pożywienie, jakiego nie było już na całej planecie. Z tego względu uruchomiono maszynę, która nie była już używana od co najmniej miliarda lat - po to tylko, bym mógł jeść. Może nawet były zadowolone, że to robią.

Potrzebowały tak bardzo, bardzo mało, gdyż były tak idealnie sprawne. Jedynym materiałem pędym we wszechświecie jest wodór. Z wodoru, najlżejszego z elementów, można zbudować to, co najcięższe - uzyskując dodatkowo energię.

Maszyny wiedziały, w jaki sposób zniszczyć całkowicie materię, aby uzyskać z niej energię.

Ale podczas gdy uzyskiwanie energii z wodoru, dzięki któremu tworzy się cięższe elementy, jest możliwe do kontrolowania, niszczenie materii jest samoregenerującym się procesem. Po rozpoczęciu, rozprzestrzenia się - dziki, niekontrolowany proces. Pełne wykorzystanie materii jest niemożliwe.

Słońca zdołały już to stwierdzić. Spaliły swój zapas wodoru, aż zostało go tak mało, że proces nie mógł być kontynuowany.

Na Ziemi nie było już ani jednego atomu wodoru, nie było go też na żadnej planecie, oprócz Neptuna. Zresztą i ten zasób nie był już tak duży. Przebywając tam, zużyłem jego znaczną część. To właśnie jest ich ostatnią nadzieją.

Mogą wreszcie dojrzeć koniec. Pozostałem przez kilka dni, a maszyny zjawiały się i odchodziły. Stale ciekawe, gotowe do badań. Jednak w całym wszechświecie nie było już nic godnego badania, może tylko ten jeden problem, którego nie chcą rozwiązać - problem, co do którego są pewne, że nie zdołają go rozwiązać.

Maszyna zawiozła mnie z powrotem na Ziemię i ustawiła obok mnie coś o dziwnym, równomiernym, szarym połysku. W ten sposób oś magnetyczna została skierowana w ciągu kilku godzin na mnie. W momencie, kiedy oś dotknie mnie ponownie, maszyna nie mogła przebywać koło mnie, odleciała więc w kierunku Neptuna, który w tej skurczonej mumii Układu Słonecznego oddalony był jedynie o kilka milionów mil.

Stałem sam na dachu miasta, w zamrzniętym ogrodzie z jego łudzącym obrazem życia.

I przypomniała mi się tamta noc, którą spędziłem, siedząc przy zwłokach.

Wiedziałem, jak umierał, i siedziałem w ciszy wraz z nim. Jak bardzo pragnąłem wtedy, by zjawił się ktoś, z kim mógłbym porozmawiać.

A potem zrobiłem to. Nie mogłem się opanować. Siedziałem zatopiony w nocy wszechświata, w nocy i ciszy wszechświata, przy zwłokach martwej planety, przy martwych, obróconych w popiół nadziejach niezliczonych, bezimiennych pokoleń mężczyzn i kobiet. Wszechświat był martwy, a ja siedziałem sam - sam wśród głębokiej ciszy.

Gdzieś tam na planecie Neptun, ginęła ostatnia iskierka życia - ostatni, fałszywy płomyk bezcelowego życia, ale nie życie. Życie zginęło już wcześniej.

Świat był martwy.

Wiedziałem, że nie usłyszę tu żadnego dźwięku - gdyż otaczały mnie mrok i noc czasu i wszechświata. Było to nieuniknione, nieuchronny koniec, który za moich dni był po prostu bardziej odległy - wtedy, gdy gwiazdy stanowiły potężne latarnie potężnego wszechświata, a nie zamierającymi, migocącymi świeczkami u wezłowia martwej planety.

To było nieuniknione; świece musiały się wypalić, czy chciały tego, czy też nie.

Ale teraz gasły na moich oczach, tak samo jak resztki energii maszyn, które w tym rozpaczliwym, tak bardzo wiernym geście usiłowały ocalić miasto, martwe przecież już od dawna.

Wszechświat nie żył już od miliarda lat. A to, co widziałem, było ostatnim przebłyskiem, ostatnim promieniem ciepłego życia, czegoś, co już nie istniało, poczuciem życia i

ciepła, imitowaniem życia przez trupa. Te słońca od dawna przestały wytwarzać energię, były martwe, a ich zwłoki oddawały ostatnie resztki ciepła.

Zacząłem biec. Biegłem i biegłem, byle dalej od tych migotliwych czerwonych słońc na niebie, w stronę otulającej wszystko czerni martwego miasta, gdzie nie mogły mi już przeszkodzić ani światło, ani upał, ani życie, ani imitacja życia.

Ta całkowita czerń uspokoiła mnie w jakiś sposób. Odłączyłem więc wentyle od tlenu, gdyż chciałem umrzeć w pełni świadomości, nawet tu, wiedziałem też, że nigdy nie powrócę.

I wtedy zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. Przyszedłem do siebie, kiedy puszczo-
no mi w twarz strumień czystego tlenu. Nie wiedziałem nic, poza tym, że oto natrafiłem zno-
wu na ciepło i życie.

Gdzieś z drugiej strony bizmutowej cewki, a mimo to jako coś nieuniknionego, istnieje
je martwa planeta, a na niej migocące, gasnące świece, które rozwidniają mą straż przy umar-
łym - u kresu czasu.

Zmierzch

- Co do autostopowiczów, to pewnego razu podwiozłem faceta, który naprawdę był niezwykłym typem - oświadczył Jim Bendell niezbyt pewnym głosem. - Opowiedział mi najdziwniejszą historię, jaką kiedykolwiek słyszałem. - Zaśmiał się, ale jakoś dziwnie. - Większość z nich opowiada o tym, jak utracili swe dobre posady i teraz próbują znaleźć zajęcie tutaj, na rozległych obszarach Zachodu. Chyba nie rozumieją, ilu takich przybyło tu przed nimi. Wydaje im się, że cały ten piękny, olbrzymi kraj jest nie zamieszkały.

Jim Bendell jest agentem sprzedaży nieruchomości. To jego ulubiony temat i dobrze wiem, jak potrafi go rozwijać. Niepokoi się, bo w naszym stanie zostało jeszcze wiele nie zajętych działek. Ciągłe plecie o pięknym kraju, ale nigdy nie wychylił nosa głębiej w pustynię niż do ostatnich zabudowań. Trzeba to powiedzieć szczerze: boi się jej. Musiałem więc doprowadzić go z powrotem na tor rozmowy.

- Ten też miał jakieś pretensje, Jim? Poszukiwacz, który nie może znaleźć terenów do poszukiwań?

- To wcale nie jest śmieszne, Bart. Nie chodziło mu o żadne pretensje. Nie wspomniał nawet o tym, po prostu opowiedział swoją historię. Żeby jeszcze twierdził, że mówi prawdę. Nie, on ją tylko opowiedział. To mnie właśnie zastanowiło. Wiem, że zmyślił to wszystko, ale opowiadał w taki sposób... Zresztą sam nie wiem.

Chyba naprawdę się pogubił. Jim Bendell zwykle bardzo dba o płynność wymowy, jest z tego wręcz dumny. Kiedy zaczyna się plątać, oznacza to, iż coś go gnębi. Zupełnie jak wtedy, kiedy wziął grzechotnika za kawałek gałązki i chciał go wrzucić do ognia.

- Miał także śmieszne ubranie - ciągnął Jim. - Wyglądało, jakby było zrobione ze srebra, lecz w dotyku przypominało jedwab, a nocą trochę świeciło.

Zabrałem go już o zmierzchu. Właściwie to podniosłem go z ziemi, leżał bowiem jakieś trzy metry od jezdni Drogi Południowej. Z początku myślałem, że ktoś go potracił i nie zatrzymał się. W zapadającym zmroku nie był dobrze widoczny. Podniosłem go z ziemi, wsadziłem do samochodu i ruszyłem w drogę. Miałem do przejechania około pięciuset kilometrów, lecz pomyślałem, że mogę go zostawić w Warren Spring u doktora Vance'a. Ale on po pięciu minutach doszedł do siebie i otworzył oczy. Popatrzył na drogę, potem na samochód i na księżyc. „Dzięki Bogu!” rzekł, po czym spojrzał na mnie. Niemal przeżyłem szok. Był piękny; nie, właściwie przystojny.

Ani jedno ani drugie. Był wspaniały. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i włosy brązowe z czerwonozłotym połyskiem. Wyglądały jak cieniutki miedziany przewód, który z

wiekem zbrązował. Poza tym były poskręcane w kędziory. Miał szerokie czoło, dwa razy szersze od mojego; delikatne, lecz bardzo charakterystyczne rysy, oczy szare jak wryte w żelazie i większe od moich. Dużo większe.

A jego ubiór - wyglądał trochę jak połączenie stroju kąpielowego ze spodniami od piżamy. Długie ramiona swym delikatnym umięśnieniem przypominały sylwetki Indian. Skórę miał jednak białą, choć ze słabym odcieniem złota a nie brązu.

Był wspaniały - najpiękniejszy człowiek, jakiego w życiu widziałem. Zresztą do diabła z tym.

- Cześć - powiedziałem. - Miał pan wypadek?

- Nie; przynajmniej nie w tym czasie.

Jego głos także brzmiał wspaniale. To nie był zwykły głos. Mogłoby się здаwać, iż zamiast strun głosowych miał piszczałki organowe.

- Chyba nie doszedłem jeszcze całkiem do siebie. Przeprowadzałem pewien eksperyment - rzekł. - Niech mi pan powie, jaki mamy dzisiaj dzień, który rok i tak dalej.

- Dzisiaj jest dziewiąty grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku - odparłem.

Niezbyt mu się spodobała ta data. Zakasłał chcąc zamaskować grymas, jaki przebiegł po jego twarzy.

- Ponad tysiąc... - rzekł w zamyśleniu. - Lepsze to niż siedem milionów. Nie ma co narzekać.

- Siedem milionów? Czego?

- Lat - odpowiedział spokojnie, zupełnie jakby mówił serio. - Przeprowadzałem pewne doświadczenie. Raczej będę je przeprowadzał. Będę musiał to zrobić jeszcze raz. Miało to miejsce w roku trzy tysiące pięćdziesiątym dziewiątym. Skończyłem właśnie próbę uwalniania. Badanie przestrzeni. Nadal wierzę, że nie była to pułapka czasu. To przestrzeń. Czuję, jak pole zamyka się wokół mnie, jednak nie mogłem się już wycofać. Pole gamma - H 481, natężenie 935 w skali Pellmana. Wessało mnie, po czym wyrzuciło na zewnątrz.

Myślę, że przebyło w przestrzeni drogę do tego miejsca, które będzie zajmował Układ Słoneczny. Poprzez jakiś kolejny wymiar, osiągając szybkość wyższą od prędkości światła i wyrzucając mnie w dalekiej przyszłości.

To nie była zwykła opowieść. On po prostu głośno myślał i dopiero po chwili zauważył moją obecność.

- Nie byłem w stanie nic odczytać z ich przyrządów. Siedem milionów lat ewolucji odmieniło wszystko. Stąd też wracając minąłem się nieco z celem. Musiałem się znaleźć w roku trzy tysiące pięćdziesiątym dziewiątym.

Niech mi pan powie, jakie jest wasze ostatnie osiągnięcie naukowe?

Tak mnie zaskoczył tym pytaniem, że wymieniłem pierwszą rzecz, jaka przyszła mi na myśl.

- Chyba telewizja. Poza tym radio, samoloty.

- Radio... to świetnie. Będą mieli odpowiednie przyrządy.

- Chwileczkę. Kim pan właściwie jest?

- Och, przepraszam. Zapomniałem - odrzekł tym swoim organowym głosem. - Nazywam się Ares Sen Kenlin. A pan?

- James Waters Bendell.

- Waters?... Cóż to oznacza? Nie rozumiem.

- Cóż, to imię, rzecz jasna. Dlaczego miałby pan je rozumieć?

- To znaczy, że nie macie jeszcze klasyfikacji. „Sen” oznacza naukowiec.

- Skąd pan przybył, panie Kenlin?

- Skąd? - uśmiechnął się. - Z przestrzeni, z dystansu ponad siedmiu milionów lat - odparł, powoli i miękko wymawiając wyrazy. - Ludzie przyszłości stracili rachubę czasu. Maszyny wyeliminowały zbędne czynności. Nie wiadomo już było, który jest rok. A tak w ogóle, pochodzę z Neva'th City, z roku 3059.

Wtedy właśnie zacząłem podejrzewać, że facet jest stuknięty.

- Byłem badaczem - kontynuował. - Uczonym, jak już powiedziałem. Mój ojciec też był naukowcem, zajmował się genetyką ludzi. Ja jestem efektem jego doświadczeń. Dopiął swego. Na całym świecie zaczęto stosować jego metodę. Ja byłem pierwszym z nowej rasy.

Nowa rasa... O Boże... Co było... Co będzie...

Jaki będzie koniec? Widziałem go... prawie. Widziałem ich... małych ludzików... zdziczałych... zagubionych. I maszyny. Czy musi się tak stać?... Czy nic nie można odmienić?...

Niech pan słucha: nauczyłem się takiej piosenki.

Zaśpiewał ją. Teraz nie musiał już opowiadać o tych ludziach. Znałem ich. Zdawało mi się, że słyszę ich głosy brzmiące w dziwnych, jakby trzaskających, nieangielskich słowach. Wyczuwałem ich straszliwą tęsknotę. Piosenka była, jak sądzę, w tonacji minorowej. Nawoływała. Wzywała i zapytywała. I bez nadziei szukała czegoś. Ponad tym wszystkim górował szum i zawodzenie nieznanymi, zapomnianymi maszynami.

Maszyn, których nie można było wyłączyć, gdyż kiedyś puszczono je w ruch, a mali ludzie zapomnieli, jak się je zatrzymuje. Zapomnieli nawet, do czego one służą; przyglądali się im jedynie i nasłuchiwali. I dziwili się. Nie potrafili już ani czytać ani pisać. Język uległ tak gruntownym zmianom, że zapisy foniczne ich przodków nie przedstawiały dla nich żadnej wartości.

Lecz piosenka trwała, a ludzie zastanawiali się. Spoglądali w przestrzeń i widzieli ciepłe, przyjazne im gwiazdy, ale zbyt odległe. Znali dziewięć planet, które zamieszkiwali. Odzieleni nieskończoną pustką, nie widzieli dotąd innych cywilizacji, nowego życia.

A w tym wszystkim - dwie rzeczy: maszyny i osłupiałe zapomnienie; Może jeszcze pytanie: dlaczego?

O tym mówiła piosenka, od której przeszły mnie ciarki po grzbiecie. Nie powinno się jej śpiewać dzisiejszym ludziom. Robiła wrażenie, jakby zabijała wszystko, a na pewno zabijała nadzieję. Po jej wysłuchaniu zacząłem mu wierzyć.

Kiedy skończył śpiewać, milczał przez chwilę. Potem otrząsnął się i kontynuował swą opowieść.

- Nie uwierzy pan, jeszcze nie. A ja ich widziałem. Stali tuż obok mnie - zdeformowani ludzie o olbrzymich głowach. Lecz ich głowy dźwigały jedynie mózgi. Mieli maszyny, które potrafiły myśleć, ale ktoś wyłączył je jakiś czas wcześniej, a nikt z nich nie wiedział, jak się je uruchamia. To była najstraszniejsza rzecz. Mieli wspaniałe mózgi, o wiele lepsze niż pański czy mój. Ale wyłączono ich może kilka milionów lat wcześniej i od tego czasu byli pozbawieni myśli. Sympatyczni, mali ludzie. Tyle tylko wiedzieli.

Kiedy dostałem się w to pole, zacisnęło się ono niczym pole grawitacyjne transportujące ładownik w kierunku planety. Najpierw mnie wessało, potem wypuło. Tyle, że po jego drugiej stronie znalazłem się siedem milionów lat w przyszłości. Tak to się stało. Musiałem zawisnąć niemal dokładnie w tym samym punkcie nad powierzchnią planety, lecz nigdy się nie dowiedziałem, jaka była tego przyczyna.

Panowała noc; w pewnej odległości ujrzałem miasto. Nie podobał mi się ten krajobraz w świetle Księżyca. Widzi pan, człowiek w ciągu tych siedmiu milionów lat ingerował w pozycje ciał planetarnych: zmieniał trajektorie, oczyszczał układ z asteroidów i tak dalej. Poza tym siedem milionów lat to wystarczająco długi okres czasu, aby pozycje ciał uległy naturalnym zmianom. Księżyc znajdował się jakieś osiemdziesiąt tysięcy kilometrów dalej od Ziemi, a ponadto obracał wokół swej osi. Przez jakiś czas przyglądałem się mu. Nawet gwiazdy miały inne konfiguracje.

Miasto posiadało komunikację międzyplanetarną. Co chwila w tę i z powrotem wędrowały statki niczym modele przesuwane na sznurku. Rzecz jasna były to tylko linie siłowe. Część miasta położona niżej była jasno oświetlona czymś, co wyglądało na rtęciowe lampy próżniowe. Światło miało barwę błękitno-zieloną. Ludzie nie wytrzymaliby przy nim, kłuło w oczy. Ale górna część miasta była skromniej oświetlona.

Wówczas ujrzałem coś opadającego z nieba na to miasto. Była to jaskrawa, olbrzymia kula, kierująca się wprost w stronę srebrzysto-czarnego, zatłoczonego centrum.

Nie mam pojęcia, co to mogło być, zrozumiałem jednak, że miasto jest wyludnione. Było to dziwne przeświadczenie, jako że nigdy przedtem nie widziałem opuszczonego miasta. Mimo to przebyłem odległość dwudziestu pięciu kilometrów i wkroczyłem między jego mury. Po ulicach przesuwali się maszyny, chyba naprawcze. Nie rozumiały, iż miasto nie potrzebuje ich już, a więc funkcjonowały nadal. Trafiłem na pojazd pasażerski, który wyglądał prawie tak jak obecne. Posiadał ręczne urządzenia sterownicze, w których dość szybko się zorientowałem.

Nie mam pojęcia, od jak dawna to miasto mogło być wyludnione. Niektórzy ludzie z innych miast twierdzili, że od stu pięćdziesięciu tysięcy lat. Inni wymieniali liczbę trzystu tysięcy. Minęło więc trzysta tysięcy lat od czasu, kiedy stopa człowieka stanęła w mieście. Lecz pojazd znajdował się w znakomitym stanie i ruszył od razu. Był idealnie czysty, tak jak i całe miasto było utrzymane w czystości. Kiedy ujrzałem restaurację, poczułem, że jestem głodny. Ale jeszcze bardziej pragnąłem porozmawiać z kimkolwiek. W mieście nie było nikogo, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

W restauracji potrawy były ukazane bezpośrednio, tak że łatwo można było dokonać wyboru. Produkty liczyły sobie, jak sądzę, trzysta tysięcy lat. Nie wiedziałem jednak o tym; nie miało to zresztą większego znaczenia, jako że automaty serwujące przyrządzały dania syntetycznie, a robiły to znakomicie. Kiedy budowniczowie projektowali to miasto, zapomnieli o jednej rzeczy - nie wzięli pod uwagę faktu, że nic nie trwa wiecznie.

Budowa aparatu zajęła mi sześć miesięcy; pod koniec tego okresu byłem już gotów uciekać stamtąd. Uciekać także przed widokiem maszyn, na ślepo, lecz precyzyjnie wykonujących swoje obowiązki, niezniszczalnych, nadal wytrwale realizujących zamierzenia ich twórców wiele lat po tym, jak ich konstruktorzy, a także ich synowie i synowie ich synów przestali ich już potrzebować...

Nawet gdy Ziemia będzie już martwa, a Słońce zacznie przygasać, to maszyny nadal będą wypełniały swe funkcje. Kiedy Ziemia zacznie pękać i rozpadać się, te wspaniałe, doprowadzone do perfekcji maszyny będą próbowały ją naprawić...

Wyszedłem z restauracji i zacząłem zwiedzać miasto, jeżdżąc taksówką. Pojazd wyposażony był, jak sądzę, w niewielki silnik elektryczny, ale czerpał energię z jakiejś centralnej, dużej elektrowni. Szybko zorientowałem się, iż znajduję się w bardzo odległej przyszłości. Miasto podzielone było na dwa sektory. W pierwszym z nich, wielopoziomowym, pracowały maszyny wydające głęboki, basowy pomruk, który rozlegał się echem w całym mieście niczym wszechpotężna, nie kończąca się pieśń energii. Wszystkie metalowe konstrukcje odpowiadały na ten zew, przenosiły go i zwielokrotniały. Był jednak zarazem łagodny, ściszony i uspokajający.

Musiałoby się tam znajdować co najmniej trzydzieści pięter powyżej poziomu gruntu i ze dwadzieścia poniżej. Wszystko z metalu - ściany, podłogi, a także szklano-metalowe potężne maszyny. Jedynym światłem w pomieszczeniach był niebieskozielony blask lamp rtęciowych. Widmo pasm rtęci zawiera wiele pasm wysokoenergetycznych, które stymulują wzbudzenie elektroelektryczne atomów metali alkalicznych. Czy mówię o rzeczach wykraczających poza poziom waszej nauki? Nie pamiętam już tego.

Stosowali to oświetlenie, ponieważ liczne spośród ich urządzeń wyposażone były w fotokomórki. To naprawdę wspaniałe maszyny. Przez pięć godzin kręciłem się po olbrzymiej elektrowni umieszczonej na jednym z najniższych poziomów. Miałem co podziwiać, a z powodu otaczającego mnie ciągłego ruchu, tego mechanicznego pseudo-życia, czułem się trochę mniej osamotniony.

Generatory, które obserwowałem, pracowały na zasadzie uwalniania, odkrytego przede mnie... kiedy? Chodzi mi o proces wyzwolania energii z materii. Kiedy je ujrzałem, zrozumiałem, że ich praca może trwać jeszcze niezliczone stulecia.

Cała dolna część miasta została oddana we władanie maszynom. Było ich tysiące. Lecz większość z nich stała w bezruchu albo też oczekiwała na naładowanie akumulatorów. Rozpoznałem nawet aparat telefoniczny, ale nie pojawił się w nim żaden sygnał. W mieście nie było żywej duszy. Kiedy nacisnąłem klawisz umieszczony pod ekranem na jednej ze ścian pokoju, urządzenie zaczęło normalnie pracować. Było sprawne, tyle że nikt go już nie potrzebował. Ludzie wiedzieli, co to znaczy śmierć, byli martwi. Maszynom to pojęcie było obce.

W końcu przeszedłem do górnej części miasta, na jego wyższe poziomy. I tu znalazłem raj.

Były tu parki, krzewy i drzewa pogrążone w delikatnej poświacie błyszczącego powietrza. Pięć milionów lat wcześniej ludzie nauczyli się wytwarzać światło w powietrzu, po trzech milionach zapomnieli, jak to się robi, ale maszyny nadal znały ten sam proces i ciągle produkowały tę poświatę. To było wspaniałe - powietrze świecące miękkim, srebrzystym,

niecو różowawym blaskiem, pogrążającym zarośla w półmroku. Tutaj nie spotkałem maszyn, wiedziałem jednak, że za dnia wychodzą z ukrycia i pielęgnują ogrody - raj dla ludzi, których nie było już na świecie - a o zmierzchu przerywają swą pracę.

Na pustyni za miastem powietrze było chłodniejsze i bardzo suche. Tutaj było ciepło i przyjemnie, a atmosferę przepełniał zapach kwiatów, których hodowlę przez setki tysięcy lat ludzie doprowadzili do perfekcji.

Skądś napłynęła muzyka. Jej źródłem było powietrze; po chwili wypełniała już całą przestrzeń. Księżyc zapadał za horyzont, zaś kiedy zaszedł, różowosrebrzysta poświata zniknęła, a muzyka nasiliła się.

Nadpływała zewsząd i znikąd jednocześnie. Czułem ją nawet wewnątrz siebie. Nie mam pojęcia, jak oni tego dokonali; nie przypuszczam też, by taką muzykę mógł skomponować jakiś człowiek.

Ludzie pierwotni tworzą muzykę zbyt prostą, by mogła się podobać, lecz za to kipiącą życiem. Pół-dzicy komponują muzykę nadzwyczaj piękną i niespotykanie prostą. Muzyka murzyńska waszych czasów należy do najlepszych. Czarni rozumieli pieśni, kiedy ich słuchali, a śpiewali je tak, jak je naprawdę czuli.

Właśnie półcywilizowani ludzie tworzyli najwspanialszą muzykę. Byli z niej dumni i wiedzieli, że budują wielkie dzieło; tak wielkie, że aż nie do zniesienia.

Zawsze sądziłem, że nasza muzyka jest znakomita. Ale ta, która pojawiła się w powietrzu, była prawdziwą pieśnią triumfu, śpiewaną przez wysoko rozwiniętą, znajdującą się u szczytu ewolucji cywilizację. To właśnie człowiek w tych majestatycznych dźwiękach, które mnie porwały, wyśpiewywał swój triumf; ukazywał mi nęcącą przyszłość i wzywał mnie do siebie.

I pieśń zamilkła w powietrzu, kiedy przyglądałem się wymarłemu miastu. Maszyny powinny były wymazać tę pieśń ze swej pamięci, tak jak człowiek zapomniiał o niej już wiele lat wcześniej.

Wszedłem do pomieszczenia, które musiało być jednym z ich mieszkań. W przyćmionym świetle szedłem niewyraźną ścieżką, lecz gdy stanąłem przed progiem, światło, nie funkcjonujące od Trzystu tysięcy lat, oświetliło pokoje specjalnie dla mnie zielonkawym blaskiem przypominającym barwę robaczki świętojańskie, mogłem więc wejść do środka. Natychmiast powietrze pomiędzy futryną drzwi przekształciło się w taki sposób, jakby zawisła tam nieprzezroczysta, mleczna kurtyna. W pomieszczeniu, do którego wszedłem, dominowały metal i kamień - jakaś matowoczarna substancja, w dotyku jakby aksamitna, wśród metali natomiast przeważały srebro i złoto. Na podłodze leżał dywan, wykonany z takiego samego materiału,

w jaki jestem odziany, tylko znacznie grubszego i bardziej wytrzymałego. Wzdłuż ścian znajdowały się niskie otomany, pokryte tym samym miękkim metalicznym materiałem błyszczącym czernią, srebrem i złotem.

Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Prawdopodobnie nie zobaczę nigdy więcej, a mój i pański język nie są w stanie w pełni tego opisać.

Budowniczości tego miasta mieli pełne prawo, a także powód, aby śpiewać tę pieśń triumfu - triumfu, którym było zaludnienie dziesięciu planet oraz piętnastu nadających się do zamieszkania księżyców.

Lecz ludzi tych nie było już na świecie. Ja także postanowiłem stąd odejść. Zarysował się w mej głowie pewien plan, zawróciłem do centrali telefonicznej, by przyjrzeć się dokładnie mapie, którą tam widziałem. Planeta wyglądała niemal dokładnie tak samo. Siedem czy nawet siedemnaście milionów lat to niezbyt długi okres czasu dla starej Matki Ziemi. Podejrzewam, że dożyje ona chwili, kiedy te wspaniałe maszyny miasta legną w gruzach. Może upłynąć sto milionów lat, czy nawet miliard lat, zanim sama rozsypie się w proch.

Próbowałem uzyskać połączenie z kilkoma centralami innych miast ukazanych na mapie. Kiedy przyjrzałem się bliżej urządzeniom centrali, szybko zrozumiałem zasady jej działania.

Próbowałem raz, drugi i trzeci, w sumie chyba z tuzin razy. Yawk City, Lunon City, Paree, Shkago, Singpor i inne miasta. Zaczynałem już sądzić, że jestem jedynym żywym człowiekiem na całym świecie. I przygniatała mnie świadomość, że w każdym z tych miast maszyny odbierały mój sygnał i realizowały połączenie. Urządzenia były sprawne wszędzie, nawet w najbardziej odległej centrali. Ja znajdowałem się w Neva City, niezbyt dużym mieście; Yawk City na przykład miało ponad osiemset kilometrów średnicy.

W każdym z miast wybierałem kilka numerów. Wreszcie połączyłem się z San Frisco. Tam ktoś był. Usłyszałem ludzki głos, a na małym ekranie zobaczyłem twarz człowieka. Widziałem, jak zerwał się na równe nogi i przyglądał mi się w zdumieniu. Po chwili zaczął mówić. Nic nie rozumiałem, rzecz jasna. My możemy się porozumieć; nasze języki niewiele się różnią, a to dlatego, że wasza mowa została zapisana w różnych nagraniach dźwiękowych, a nasza jest na niej oparta.

Niektóre rzeczy uległy zmianie, na przykład nazwy miast, które zwykle są polisylabiczne. Ludzie, często ich używając, mają tendencję do upraszczania ich i skracania. Pan powiedziałby, że znajdowałem się w Ne-va-da City. Tak to się wymawia? My mówimy tylko Neva. Albo Yawk State. Lecz nazwy Ohio, czy Iowa pozostały niezmiennymi. Okres ponad

tysiąca lat nie spowodował poważniejszych zmian w brzmieniu słów; były one zresztą utrwalone.

Ale ja byłem siedem milionów lat w przyszłości. Ludzie zapomnieli o starych nagraniach korzystając z nich coraz rzadziej w miarę upływu czasu. Ich mowa uległa zmianie, aż wreszcie nadszedł taki okres, kiedy nie mogli już zrozumieć nagrań. Nie mogli także korzystać z materiałów pisanych.

Od czasu do czasu zdarzali się na pewno między nimi ludzie czujący głód wiedzy, ale nie byli w stanie nic zrobić. Stare pisma mogły być przetłumaczone, gdyby tylko odkryto podstawowe reguły. Ale nagrania... Skoro zapomniano nie tylko o prawach nauki, ale również o użyteczności mózgu.

Nie rozumiałem nic z mowy człowieka, który odpowiedział na moje wezwanie. Miał wysoki, piskliwy głos i rozmywał wszystkie słowa, nie akcentując ich. Jego mowa brzmiała prawie jak muzyka. Był podekscytowany i po chwili przywołał innych. Nie mogłem się z nimi porozumieć, lecz wiedziałem, gdzie ich szukać. Mogłem się do nich udać.

Zszedłem więc na dół z tych rajskich ogrodów i zacząłem przygotowywać się do drogi. Na niebie wstawał świt. Nie znane mi gwiazdy powoli bladły i znikwały. Tylko jedna znajoma błyszczała na niebie - Wenus. Okruch złota wówczas. Wtedy to po raz pierwszy przyjrzałem się dokładniej niebu i wreszcie zrozumiałem, co od początku mi się w nim nie podobało, stwarzało wrażenie obcości. Ich niebo było zupełnie różne od naszego.

W moich czasach, podobnie jak teraz, Układ Słoneczny na swojej galaktycznej marszrucie znajduje się w pobliżu swoistego kosmicznego skrzyżowania. Gwiazdy, które widzimy nocą na niebie, należą do przemieszczających się gwiazdnych gromad. W rzeczywistości nasz układ przemierza właśnie centrum gromady Wielkiej Niedźwiedzicy. W promieniu pięciuset lat świetlnych od nas znajduje się sześć podobnych grup gwiazdnych.

W przeciągu tych siedmiu milionów lat Słońce zdążyło już opuścić skupisko. Na pierwszy rzut oka niebo było niemal zupełnie puste; tylko gdzieś tam widoczne były blade gwiazdki. W poprzek tego mrocznego nieboskłonu rozciągało się pasmo Drogi Mlecznej. Poza tym niebo było puste.

To, o czym śpiewali w swojej pieśni, musiało więc dotyczyć jeszcze czegoś. Chodziło im o samotność w sensie braku nawet bliskich, przyjaznych gwiazd. My do wielu gwiazd mamy nie więcej niż sześć lat świetlnych. Oni twierdzili, że ich przyrządy, bezpośrednio wskazujące odległość do dowolnej gwiazdy, sygnalizowały, iż od najbliższej gwiazdy dzieli Ziemię dystans stu pięćdziesięciu lat świetlnych. Była to gwiazda nadzwyczaj jasna, jaśniejsza od widocznego na naszym niebie Syriusza. Fakt, iż był to niebieskobiały supergigant,

czynił go dla ludzi jeszcze bardziej obcym obiektem. Nasze Słońce mogłoby być z powodzeniem satelitą tej gwiazdy.

Stałem jeszcze przez chwilę i przyglądałem się, jak różowosrebrna poświata znika w miarę nasilania się krwistoczerwonego blasku Słońca na horyzoncie. Teraz po układzie gwiazd wiedziałem już, że znajduję się w przyszłości odległej o kilka milionów lat. Taki dystans czasowy dzielił mnie od poprzedniego wschodu Słońca, jaki widziałem. Krwistoczerwony blask na wschodzie wzbudził moje obawy, czy Słońce przypadkiem nie zaczyna już dogasać.

Wkrótce krawędź olbrzymiej szkarłatnej tarczy wychynęła zza horyzontu. W miarę podnoszenia się na niebie Słońce przybierało coraz łagodniejsze odcienie i po pół godzinie przyświecał mi znowu dobrze znany, złocistożółty dysk.

Przez tyle stuleci nie zmieniło się ani trochę.

Moje obawy były bezpodstawne. Siedem milionów lat nic nie znaczyło dla Ziemi, a ileż mniej dla Słońca. Od czasu, kiedy ostatnio obserwowałem jego wschód, minęło dwa tysiące tysięcy takich wschodów. Dwa tysiące tysięcy tysięcy dni. Gdyby minęło tyleż lat, może dostrzegłbym jakąś zmianę.

Wszechświat zmienia się bardzo powoli. Tylko życie jest gwałtowne, niecierpliwe. Osiem krótkich milionów lat. Osiem dni w życiu Ziemi - a jej cywilizacja już dobiegała kresu. Pozostały po niej tylko maszyny. One także kiedyś umrą, choć nie będą nawet tego rozumiały. Tak mi się wydaje. Może... może i zapobiegłem temu. Opowiem panu. Później.

Kiedy Słońce weszło, rozejrzałem się jeszcze raz po niebie i po ziemi, leżącej jakieś pięćdziesiąt piętér pode mną. Znajdowałem się już na samym krańcu miasta.

Maszyny poruszały się także po powierzchni ziemi; być może wyrównywały ją. Z miasta w kierunku wschodnim wiodła prosto szeroka, szara linia, połyskująca nieco w świetle wschodzącego Słońca - droga przeznaczona dla pojazdów ziemnych. Nie dostrzegłem na niej żadnego ruchu.

Ujrzałem też statek nadlatujący ze wschodu. Zbliżał się z delikatnym, jęklwym wibrowaniem powietrza, zupełnie jak dziecko popłakujące przez sen. Rósł w moich oczach niczym nadymany balon, a kiedy osiadł na wielkim polu lądowiska w dolnej części miasta, był ogromny. Po chwili rozległ się brzęk i stukot maszyn, pracujących bez wątplenia nad przetworzeniem dostarczonych właśnie towarów. Maszyny zamawiały surowce. Maszyny w innych miastach dostarczały je. Maszyny transportowe przewoziły je tutaj.

Jedynymi miastami zamieszkałymi w północnej Ameryce były San Frisco i Jacksonville. Ale statki zawijały także do innych miast, nie mogły bowiem zmienić swych programów. Nikt nie przewidział takiej możliwości.

Nagle z miasta leżącego pode mną, z jego centralnej części, wystrzeliły wysoko w górę trzy niewielkie kule. One także, podobnie jak statek transportowy, nie posiadały żadnych widocznych mechanizmów napędowych. Punkt, który wykwitł na niebie niczym czarna gwiazda w błękitnej przestrzeni, urósł powoli do rozmiarów Księżyca. Trzy kule zetknęły się na jego wysokości, po czym zaczęły opadać, aż zniknęły mi z oczu gdzieś w centralnej części miasta.

Był to, jak się dowiedziałem, transport z Wenus. Natomiast statek, którego lądowanie obserwowałem poprzedniej nocy, przyleciał z Marsa.

Zszedłem na dolny poziom i udałem się na poszukiwania jakiegoś samolotu. Przemierzyłem prawie całe miasto, lecz nie znalazłem niczego podobnego. Przeszukałem następnie wyższe poziomy. Gdzieś tam stały tam porzucone statki, ale były one o wiele za duże jak na moje potrzeby i pozbawione przyrządów sterowniczych.

Dochodziło południe. Ponownie skorzystałem z automatów restauracyjnych i tym razem również trafiłem na świetne jedzenie.

Zdałem sobie sprawę, że było to miasto pogrzebanych prochów ludzkich nadziei. Nadziei nie jednej rasy, nie ludzi białych, żółtych czy czarnych, ale nadziei całego człowieczeństwa. Musiałem wydostać się z tego miasta. Nie miałem odwagi wyruszyć drogą wiodącą w kierunku zachodnim, przypuszczałem bowiem, że taksówka, którą jeździłem, zasilana była z jakiegoś źródła energii znajdującego się w mieście i po ujechaniu iluś tam kilometrów za miasto przestanie funkcjonować.

Było już późne popołudnie, kiedy w pobliżu zewnętrznej ściany metalowego miasta odkryłem niewielki hangar. W środku stały trzy statki. Penetrowałem właśnie niższe poziomy zamieszkałej niegdyś górnej części miasta. Mieściły się tam restauracje, sklepy i teatry. Gdy wszedłem do jednego z pomieszczeń, natychmiast rozbrzmiała ściszona muzyka, a na ekranie naprzeciwko zaczęły się pojawiać jakieś kolorowe kształty.

Tutaj także, zarówno w dźwiękach, jak i w barwnych formach można było odnaleźć triumf wysoko rozwiniętej cywilizacji - rasy, która przez pięć milionów lat uparcie szła naprzód, nie dostrzegając, że jej droga urywa się gdzieś we mgle - cywilizacji nie istniejącej już, martwej, która pozostawiła po sobie martwe, choć nadal funkcjonujące miasta. Wyszedłem szybko stamtąd. Pieśń, nie śpiewana przez trzysta tysięcy lat, urwała się za moimi plecami.

Znalazłem jednak hangar; przypuszczam, że była to własność prywatna. Trzy statki - pierwszy miał jakieś piętnaście metrów długości i pięć średnicy, prawdopodobnie jacht, szalupa kosmiczna. Drugi, o długości pięciu i średnicy półtora metra musiał być statkiem powietrznym rodziny. Trzeci był malutki, miał mniej niż trzy metry długości i z pół średnicy. Zapewne podróżowało się w nim na leżąco.

Wewnątrz znajdowało się urządzenie peryskopowe pozwalające obserwować przestrzeń wokół statku i bezpośrednio nad nim, zaś małe okienko ukazywało widok pod statkiem. Pod mlecznym ekranem umieszczona była mapa, a specjalny aparat ukazywał na ekranie jej rzut w taki sposób, że krzyżujące się linie w każdej chwili wskazywały aktualną pozycję pojazdu.

Pół godziny zajęło mi zapoznanie się z przyrządami statku. Nie było to takie proste - od techniki konstruktorów tych urządzeń, której żywym świadectwem były wspaniałe maszyny, dzieliło mnie pięć milionów lat. Rozpoznałem aparat, który kontrolował mechanizm wyzwalań energii będący źródłem napędu statku. Znałem zasady tego procesu, toteż po pewnym czasie zorientowałem się też w układach mechanicznych. Nie było tam jednak żadnych przewodów, jedynie blade snopy energii, które tak szybko pulsowały, że zjawisko to ledwie dawało się dostrzec gołym okiem. Sześć snopów, prawdopodobnie tak samo błyszczących i pulsujących od trzystu tysięcy lat, a może nawet dłużej.

Gdy zbliżyłem się do nich, z pulpitu wykwitło nagle sześć następnych snopów energii. Dało się odczuć delikatne drżenie, a całe moje ciało przebiegło dziwne napięcie. Zrozumiałem po chwili, że maszyna spoczywa na neutralizatorach grawitacyjnych. Właśnie wtedy, kiedy pracowałem nad polami przestrzennymi powstałymi po zastosowaniu wyzwalań, miałem nadzieję je odkryć.

Oni musieli je znać już od kilku milionów lat, gdy budowali tę wspaniałą, niezniszczalną maszynę. Chyba ciężar mojego ciała uruchomił urządzenia przygotowujące statek do lotu. Wewnątrz wytworzona została sztucznie grawitacja równa grawitacji ziemskiej, a przejście z naturalnego pola ciężenia do symulowanego spowodowało powstanie napięcia, które odczułem.

Statek był gotów, wyposażony w pełny zapas paliwa. Ludzie tak konstruowali aparaty, by te natychmiast realizowały ich potrzeby i pragnienia. Każde z urządzeń było niemalże żywym stworzeniem. Specjalny układ czuwał nad gotowością statku, zaopatrzeniem w paliwo, a gdy zachodziła potrzeba, dokonywał nawet prostych napraw. Jeśli nie był w stanie tego zrobić, to jak się później dowiedziałem, samodzielnie przybywał na miejsce pojazdu serwisowy,

dokonywał wymiany zużytych części, te zaś dostarczał do wytwórni, gdzie inne automaty wykonywały naprawy.

Statek czekał cierpliwie na mój sygnał do startu. Sterowanie okazało się nadzwyczaj proste. Dźwignia z lewej pchnięta do przodu powodowała lot naprzód, zaś cofnięta wywoływała ruch wsteczny. Z prawej strony znajdował się poziomy, umocowany na osi pręt, który skrzyślony w lewo zmieniał kurs w lewo, a gdy się go skrzyślono w prawo, statek zakrzyślony w prawo; pchnięcie go do góry powodowało zmianę wysokości lotu, a ściąganie w dół powodowało obniżanie kursu. Za pomocą jednego drążka sterowniczego można było całkowicie kontrolować lot statku.

Uniosłem go nieco w górę. Strzałka na skali umieszczonej na wprost moich oczu przesunęła się nieco i statek powoli zaczął odrywać się od podłoża. Pchnąłem drugi drążek od siebie. Nabierając szybkości stopniowo wzniosłem statek ponad miasto. Kiedy oba drążki przesunąłem w położenie zerowe, pojazd kontynuował ruch siłą bezwładności, dopóki opór powietrza nie zatrzymał go w miejscu. Obróciłem drążkiem i strzałka na drugiej skali zaczęła się przesuwac, ukazując pozycję statku. Nie mogłem nic z niej odczytać. Mapa pod ekranem nie przemieszczała się, była chyba zepsuta. Poprowadziłem więc statek na wyczucie w kierunku zachodnim.

Wewnątrz tego wspaniałego pojazdu nie odczuwało się żadnych przyspieszeń. Ziemia pode mną powoli przesunęła się i po chwili znajdowałem się już poza granicami miasta. Dopiero teraz dostrzegłem ruch mapy. Leciałem w kierunku południowo-zachodnim. Skrzyślony nieco na północ spoglądając na odkryty dopiero co kompas. Statek przyspieszył zgodnie z moim pragnieniem.

Zacząłem baczniej przyglądać się mapie i kompasowi. Nagle rozległ się dźwięk brzęczyka, maszyna zwiększyła nieco pułap i skrzyślona w kierunku północnym, choć nie dotykałem żadnych drążków. Przedemną rozciągały się góry. Nie dostrzegłem ich jeszcze, lecz statek „widział” już przeszkodę.

Dopiero teraz zauważyłem to, czego szukałem bezskutecznie od początku - dwie małe śrubki pozwalające przesunąć mapę pod ekranem. Lecz kiedy zacząłem nią poruszać, zabrzmiał sygnał dźwiękowy i statek rozpoczął hamowanie. Po chwili leciał już z minimalną prędkością, zmieniając jednocześnie kurs. Próbowałem nim pokierować, ale maszyna nie reagowała zupełnie na ruchy drążkami sterowniczymi.

Poruszając mapę uruchomiłem jakiś automat. Statek mógł albo lecieć po kursie wyznaczonym przez mapę, albo też mapa przesunęła się zgodnie z trajektoria pojazdu. Przesunąłem ją ponownie i statek znowu zmienił kurs dostosowując się do narzuconego programu

lotu. Obok ekranu znajdował się jeszcze jeden mały przycisk, nie wiedziałem jednak, do czego on służy. Statek ponownie zaczął reagować na ruchy sterami dopiero wtedy, 17 Droga do SF - i kiedy całkowicie zakończył swój program i zawisł jakieś pięćdziesiąt centymetrów nad powierzchnią ziemi w samym centrum rozciągających się dookoła ruin wielkiego miasta. Była to prawdopodobnie pozostałość po Sacramento.

Teraz zrozumiałem wszystko. Ustawiłem mapę tak, by linie przecinały się w San Frisco i po chwili statek uniósł się w powietrze. Nabrał wysokości ponad rozrzuconą bezładnie masą skał, powrócił na pierwotny kurs i pomknął przed siebie niczym tęponosy, samosterujący oszczep.

Kiedy doleciał do San Frisco, nie wylądował od razu. Zawisł po prostu w powietrzu i zasygnalizował koniec lotu głębokim, melodyjnym głosem dzwonu. Po chwili sygnał powtórzył się, lecz ja także czekałem, spoglądając w dół.

Tam byli ludzie - po raz pierwszy zobaczyłem ludzi tej epoki. Byli bardzo niscy, jakby skarłali i zdziczali, o nieproporcjonalnie wielkich, choć jeszcze nie olbrzymich głowach.

Szczególnie zaintrygowały mnie ich oczy. Były ogromne. Kiedy wpatrywały się we mnie, wydawało mi się, że dostrzegam w nich niewyobrażalną potęgę, uspioną jednak tak głęboko, iż wręcz niezdolną do wydobywania.

Posługując się ręcznymi sterami sprowadziłem statek na ziemię. Ledwie jednak wyszedłem na zewnątrz, maszyna automatycznie uniosła się i odleciała. Pojazd wyposażony był w urządzenie parkingowe. Osiadł w najbliższym publicznym hangarze, gdzie automaty mogły zapewnić mu konserwację i przygotować go do następnego lotu. W statku był niewielki nadajnik, który wychodząc powinienem był zabrać ze sobą, a który po naciśnięciu guzika wezwała statek do mnie, w którejkolwiek części miasta bym się znajdował.

Ludzie, którzy mnie otoczyli, zaczęli mówić między sobą, co dla mnie brzmiało bardziej jak śpiew. Inni nadciągali powoli w moją stronę. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, także kilka osób młodych, ale nikogo w podeszłym wieku. Młodych traktowano nieomal z szacunkiem, dbając o to, by ich nie potrącić i nie przewrócić.

Mieli po temu ważne powody. Byli bardzo długowieczni, niektórzy dożywali aż trzech tysięcy lat. Umierali nagle, bez jakichkolwiek zewnętrznych oznak, nie starzejąc się nigdy. Serce po prostu zatrzymywało się, mózg przestawał pracować i tak kończyli życie. Najmłodszych, niedojrzałych traktowano z najwyższą ostrożnością. Wśród liczącej sto tysięcy ludzi populacji w przeciągu ostatniego miesiąca przyszło na świat tylko jedno dziecko. Ludzkość po prostu zaczynała być nieplodna.

Czy mówiłem już panu o ich samotności? Czuli się beznadziejnie samotni. Wciąż rozwijająca się cywilizacja doprowadziła do wytopienia wszystkich zagrażających jej form życia. Choroby, insekty. A potem wyginęły insekty, a na końcu - ostatnie drapieżne zwierzęta.

Naturalna równowaga została zburzona, więc nastąpiła długowieczność - tak jak z tymi maszynami, które raz puszczone w ruch kontynuowały swą działalność. Rozpoczęty proces wyniszczania innych form życia nie mógł być zahamowany. Najpierw wytrzebiono wszystkie rośliny będące szkodnikami i chwastami, potem inne, uprzednio niegroźne. Następnie wybito zwierzęta roślinożerne, zwierzę pławą, antylopy, króliki, konie - które żerując na uprawianych przez maszyny polach stały się szkodnikami. Ludzie ciągle jeszcze spożywali produkty naturalne.

Rozumie pan, że taki proces musiał się wymknąć spod kontroli. Na końcu wytrzebiono mieszkańców mórz, tłumacząc się konieczną samoobroną. Po wyginięciu organizmów utrzymujących równowagę naturalną pozostałe rozpleniły się ponad miarę. Po pewnym czasie żywność syntetyczna zastąpiła produkty naturalne. W jakieś dwa i pół miliona lat od naszych czasów nawet powietrze było oczyszczone z wszelkiego życia, nie wyłączając mikroorganizmów.

Naturalną kolejną rzeczą należało oczyścić ziemskie wody. Dokonano tego, lecz kosztem całego życia w tym środowisku. Istniały przecież niewielkie zwierzęta odżywiające się mikroorganizmami, małe rybki, których pożywieniem były te właśnie zwierzątka, większe ryby żerujące na najmniejszych rybach i wreszcie ryby-olbrzymy, których pokarm stanowiły mniejsze ryby - tymczasem początek tego łańcucha został zlikwidowany. Życie w morzach zniknęło w przeciągu jednego pokolenia. Dla nich oznaczało to około półtora tysiąca lat. Nawet roślinność morska wyginęła.

Na całej Ziemi pozostali przy życiu jedynie ludzie oraz te organizmy, które znajdowały się pod ich ochroną - rośliny ozdobne i zwierzęta domowe utrzymywane w ultrahigienicznych warunkach, tak samo długowieczne, jak ich opiekunowie. Między innymi psy, wyjątkowe zwierzęta. W czasach, kiedy człowiek wspinał się na szczyty rozwoju cywilizacji, jego nieodłączny przyjaciel, towarzyszący mu od miliona lat liczący do naszej epoki i cztery miliony w przyszłość, rozwijał swą inteligencję. W starożytnym muzeum - we wspaniałych warunkach, przy idealnych zabezpieczeniach, gdzie między innymi mogłem oglądać ciało jednego z największych przywódców ludzkości zmarłego pięć i pół miliona lat wcześniej - w tym muzeum, położonym na pustkowiu, widziałem przedstawiciela rasy psów. Jego czaszka

była niemal tak duża jak moja. Ludzie konstruowali specjalne, niewielkie pojazdy dla psów i budowali drogi wyłącznie dla nich.

W jakiś milion lat później człowiek osiągnął wreszcie najwyższy etap rozwoju. Teraz już tak bardzo górował nad psami, iż te przestały być dla niego odpowiednim towarzystwem. Coraz mniej były potrzebne. Po upływie następnego miliona lat, kiedy ludzkość wkroczyła na opadającą ścieżkę, psy także wymarły.

Teraz topniejąca w oczach społeczność ludzka nie miała w swym otoczeniu żadnych form życia, którym mogłaby przekazać swoje dziedzictwo. Do tej pory ilekroć upadała jakaś cywilizacja, na jej prochach zawsze wyrastała nowa. Istniała jeszcze ludzkość, lecz nie było innych ras, nie było nawet innych organizmów, poza nielicznymi roślinami. A dystans, jaki dzielił człowieka od rośliny, był tak wielki, iż nie istniała jakakolwiek możliwość przekazu informacji. Może na samym szczycie rozwoju nie było to nierealne, ale nie teraz.

W ciągu tych milionów lat ewolucji zaludniono inne światy - wszystkie planety i wszystkie nadające się do tego księżycy były zamieszkane. Teraz ludzie żyli tylko na planetach, społeczności księżyców przestały istnieć. Mieszkańcy Plutona wyemigrowali jeszcze przed moim przybyciem. Podczas mojego pobytu trwała ucieczka ludzi z Neptuna w kierunku Słońca i ojczystej planety. Byli to ludzie dziwnie małowolni. Większość z nich po raz pierwszy widziała planetę, na której zrodziła się ich cywilizacja.

Kiedy wówczas wyszedłem ze statku i ujrzałem, jak odsuwają się ode mnie, zrozumiałem, dlaczego ludzkość musiała umrzeć. Spoglądałem na twarze tych ludzi i czytałem w nich jak w księgach. Brakowało w nich pewnej cechy, choć przecież ich umysły były o wiele potężniejsze od mojego czy pańskiego. Musiałem skorzystać z pomocy jednego z nich przy rozwiązywaniu kilku moich problemów. Przestrzeń opisywana jest przez dwadzieścia współrzędnych, z których dziesięć to zero, sześć ma wartości stałe, a cztery pozostałe reprezentują naszą zmienną czasoprzestrzeń. Oznacza to, iż w obliczeniach musiałem posługiwać się nie podwójnymi, potrójnymi, czy nawet poczwórnymi, ale dziesięciokrotnymi całkami.

Samemu zajęłoby mi to zbyt wiele czasu. Nigdy nie skończyłbym wszystkich potrzebnych mi obliczeń. Nie mogłem skorzystać z ich maszyn matematycznych, a moja, rzecz jasna, została w przeszłości odległej o siedem milionów lat. Ale jeden z nich udzielił mi swej pomocy. Potrafił obliczać cztero - i pięciokrotne całki, nawet w różnych granicach wykładniczych - w pamięci.

Ale dopiero, gdy go poprosiłem o to. Widzi pan, właśnie ta cecha, która stanowi o wielkości człowieka, zaniknęła. Poznałem to już zaraz po lądowaniu, kiedy przyglądałem się ich twarzom i ich oczom. Patrzyli na mnie jak na obcego, niezbyt potrzebnego im przybysza, i

odchodzili. Przyszli tylko po to, żeby obejrzeć lądowanie statku. Było to dla nich rzadkie wydarzenie. Po prostu witali mnie w przyjacielski sposób. Nie interesowałem ich! Człowiek utracił instynkt zainteresowania.

No, może nie całkowicie. Interesowały ich maszyny, ciekawiły gwiazdy. Ale nie robili nic. Nie stracili zainteresowania całkowicie, lecz niewiele z niego zostało, była to cecha szczątkowa. W ciągu tych sześciu miesięcy, jakie spędziłem wśród nich, nauczyłem się więcej niż oni w okresach dwóch czy nawet trzech tysięcy lat swego życia, spędzanego w otoczeniu maszyn.

Czy potrafi pan wyobrazić sobie, jak bardzo czułem się osamotniony? Ja, który kocham naukę, kiedy widzę, czy też widziałem w niej zbawienie, nieustanny rozwój ludzkości, musiałem przyglądać się tym cudownym maszynom będącym wytworem superrozwinętej cywilizacji - działającym w zapomnieniu i niezrozumieniu. Cudownym, doprowadzonym do perfekcji maszynom, stworzonym do służenia, opiekania się i dbania o tych łagodnych, dobrych ludzi, którzy... po prostu utracili pamięć.

Ludzie czuli się wśród nich zagubieni. Miasto było dla nich jedynie wspaniałymi ruinami, czymś zdumiewającym, co rozciągało się dokoła. Czymś niezrozumiałym, co leżało w naturze ich świata. Czymś, co po prostu było, nie zostało wybudowane, lecz było. Tak jak góry, jak pustynia czy woda w morzach.

Czy pan to rozumie? Czy pan pojmuje, że czas, jaki upłynął od chwili powstania tych maszyn, był dłuższy niż okres, jaki dzieli nas od narodzin człowieka? A czy my pamiętamy legendy naszych pierwszych przodków? Czy posiadamy ich wiedzę o lasach i jaskiniach? Czy znamy tajemnicę takiego oszlifowania kamienia, by jego brzegi były ostre i ząbkowane? Czy potrafilibyśmy wytropić i zabić tygrysa szablatego, nie padając jego ofiarą?

Oni znajdowali się w podobnej sytuacji, tyle że dzielił ich jeszcze większy dystans czasu. Wciąż doskonała mowa uległa gruntownym przeobrażeniom, a wszystko za nich - do czego przyzwyczaili się od pokoleń - wykonywały maszyny.

Pomimo, iż zewnętrzna planeta, Pluton, została opuszczona przez ludzi, to nadal funkcjonowały maszyny w znajdujących się tam olbrzymich kopalniach jednego z niezbędnych cywilizacji metali. Cały system tworzył harmonijnie działający mechanizm, zespolony układ doskonałych urządzeń.

A ci ludzie wiedzieli tylko tyle, że chcąc coś otrzymać, należy przycisnąć odpowiedni guzik, co spowoduje taki a nie inny efekt. Podobnie jak ludzie w średniowieczu wiedzieli, że jeżeli zetknie się kawałek drewna z innymi kawałkami rozgrzanymi do czerwoności, to drewno zniknie wydzielając pewną porcję ciepła. Nie rozumieli procesu utleniania drewna, pod-

czas którego następuje wydzielanie ciepła oraz tworzenie dwutlenku węgla i wody. Tak samo ci tutaj nie rozumieli procesów, które powodowały wytwarzanie żywności, odzieży i innych niezbędnych im rzeczy.

Przebywałem wśród nich trzy dni. Potem udałem się do Jacksville. Odwiedziłem też Yawk City. To był moloch. Rozciągał się... mniej więcej od dzisiejszego Bostonu na północy do Waszyngtonu na południu. Cały ten obszar tworzył miasto Yawk City.

- Kiedy usłyszałem o tym, nie wierzyłem własnym uszom - wtrącił Jim, przerywając opowieść. Wiedziałem, że mówi szczerze. Gdyby w to wierzył, dawno kupiłby kawałek ziemi gdzieś na tym obszarze i czekał, aż jej ceny pójdą w górę. Znam go. Dla niego siedem milionów lat brzmiało nie gorzej niż siedemset i mógłby liczyć, iż jakiś jego praprawnuk zarobi na sprzedaży ziemi.

- W każdym razie - kontynuował Jim - on twierdził, że powodem tego było rozrastanie się miast. Boston rozszerzał się w kierunku południowym, Waszyngton na północ, a Yawk City oraz inne miasta w tym rejonie rozrastały się na wszystkie strony.

Całe miasto stanowiło jeden przeogromny mechanizm, sprawnie działający i utrzymywany we wzorowej czystości. System komunikacji pozwalał na podróż do North End do South End trwającą trzy minuty. Mierzyłem dokładnie. Znaleźli jakiś sposób na neutralizację efektów przyspieszeń.

Potem wybrałem się w podróż na Neptuna. Statki oczywiście nadal kursowały. Jak już mówiłem, część ludzi korzystała z nich, emigrując na Ziemię.

Statek był olbrzymi, należał chyba do typu ciężkich transportowców. Potężny metalowy cylinder, długi na kilometr i o średnicy czterystu metrów, z trudem oderwał się od Ziemi. Po wyjściu z atmosfery zaczął przyspieszać. Widziałem, jak Ziemia maleje w oczach. Podróżowałem kiedyś naszym statkiem pasażerskim na Marsa i droga ta, w roku 3048, zajęła pięć dni. Teraz, po pół godzinie lotu, Ziemia wyglądała już jak mała gwiazdka, której towarzyszyła jeszcze mniejsza, ledwie widoczna plamka Księżyca. Po godzinie minęliśmy Marsa, a w osiem godzin później lądowaliśmy na Neptunie. Główne miasto planety nosiło nazwę M'reen i było wielkości Yawk City z moich czasów, ale nie mieszkał tam ani jeden człowiek.

Planeta była ciemna i zimna - piekielnie zimna. Słońce wyglądało jak maleńki blady dysk, wcale nie grzejący i niemal nie dający światła. Ale i tu miasto było wspaniale wyposażone. Świeże, wilgotne powietrze przepelniał zapach kwiatów. Wszystkie gigantyczne metalowe konstrukcje drżały delikatnie, przenosząc pomruk potężnych urządzeń, które stanowiły o życiu miasta.

Z nagrań, jakie udało mi się odtworzyć, dowiedziałem się - jako że język, którym posługiwali się twórcy tego miasta, a na podstawie którego uformowała się mowa umierającej ludzkości, był mi dobrze znany - iż miasto zbudowane zostało w trzy miliony siedemset trzydzieści sto pięćdziesiąt lat od daty moich urodzin. Od tamtego czasu żadnej z maszyn nie dotknęła ludzka ręka.

Atmosfera tego miasta była dla ludzi idealna. Tutaj także powietrze błyszczało różowosrebrzyście, a oprócz tej poświaty nie istniało żadne inne źródło światła.

Odwiedziłem również kilka innych miast, w których nadal mieszkali ludzie. Wówczas też, pośród tych kurczących się terenów zasiedlonych przez człowieka, po raz pierwszy usłyszałem, jak sam ją nazwałem, Pieśń Tęsknoty.

Potem poznałem jeszcze jedną, Pieśń Zagubionych Wspomnień. Proszę posłuchać.

Zaśpiewał tę drugą pieśń. Jednego byłem pewien - wtrącił Jim. W jego głosie jeszcze wyraźniej słychać było niepewność; wydawało mi się, że doskonale rozumiem jego uczucia. Trzeba wszak pamiętać, że słyszałem o tym wszystkim z drugiej ręki, od zwykłego człowieka, jakim był Jim, a on słyszał ją w wykonaniu innego niż my człowieka, który na własne oczy oglądał ten świat. Człowieka posiadającego w dodatku organowy głos. Jednak wydaje mi się, że Jim miał rację, kiedy mówił: to był niezwykły człowiek. Ktoś taki jak my nie potrafiłby zapamiętać obu tych pieśni. Były jakieś - nie takie. Kiedy on śpiewał, brzmiało w nich wiele żalonych skarg. Niemal wyczuwało się, jak człowiek przeszukuje swoje myśli w poszukiwaniu czegoś, co dawno uleciało, czegoś, co koniecznie należało sobie przypomnieć - czegoś, co na pewno powinien znać, co zapadło w niepamięć i wciąż mu się wymykało. Oddalało się coraz bardziej w czasie śpiewu. Samotny, oszalały człowiek usiłował za wszelką cenę przypomnieć sobie o czymś, co mogłoby dla niego być zbawienne.

Wreszcie zabrzmiała wyraźna nuta rezygnacji i pieśń urwała się. Jim próbował ją powtórzyć. Nie miał zbyt dobrego słuchu, lecz w tej pieśni tkwiła tak wielka siła, że nie sposób było jej zapomnieć. Zanucił krótki fragment. Jim nie odznacza się bujną wyobraźnią, gdyż inaczej, jak sądzę, zaśpiewanie tej pieśni w jego obecności mogłoby go doprowadzić do obłędu. Takie pieśni nie powinny być śpiewane współczesnym ludziom, nie są dla nich. Pewnie słyszeliście rozrywające serce płacze niektórych zwierząt, tak bardzo podobne do płaczu człowieka?. Na przykład nur - wydaje takie dźwięki, jak gdyby szaleńca mordowano w najokrutniejszy sposób.

To tylko drobna nieprzyjemność. Zaś ich pieśni niosły ze sobą dokładną kopię wszystkich odczuć twórcy - i choć może brzmiały nieludzko, były bardzo ludzkie. Sądzę, że była w nich zawarta sama esencja wysiłków - i upadku ludzkości. Zawsze czujemy współczu-

cie dla przyjaciela, który po wielu staraniach w końcu rezygnuje. Tutaj czuło się bezowocną walkę całej cywilizacji i wreszcie ostateczną rezygnację. A wiedziało się, że nie można zrezygnować całkowicie, bo nie było sposobu, aby podjąć walkę jeszcze raz.

Jim podjął opowieść.

- Na początku wszystko go interesowało. I wciąż jeszcze wszędobylskie maszyny, których nie można było zatrzymać, nie przygnębiały go. Ale ta pieśń - tego już było za wiele.

Zrozumiałem w końcu, powiedział, że nie mogę żyć wśród tych ludzi. Oni umierali, ja natomiast pochodziłem z młodzieńczego etapu rozwoju rasy. Przyglądali mi się z tą samą tęsknotą i tym samym beznadziejnym zaciekawieniem, z jakim spoglądali na gwiazdy i na maszyny. Wiedzieli, kim jestem, ale nie rozumieli tego.

Zacząłem pracować nad umożliwieniem sobie powrotu.

Zajęło mi to sześć miesięcy. Nie było to proste, bowiem nie posiadałem żadnych przyrządów, a ich wyskalowane były zupełnie inaczej. Poza tym było ich bardzo mało. Maszyny nie odczytywały wskazań przyrządów, one się nimi posługiwały wprost. Przyrządy pomiarowe stanowiły niejako zmysły wszystkich urządzeń.

Reo Lantal pomógł mi, w czym tylko potrafił. I w końcu wróciłem.

Zrobiłem jeszcze jedną rzecz przed powrotem. Możliwe, że kiedyś wrócę tam, żeby ocenić efekty, rozumie pan.

Czy mówiłem, iż posiadali oni maszyny, które potrafiły za nich myśleć? Lecz wiele lat wcześniej ktoś je unieruchomił, a nikt z nich nie wiedział, jak się je włącza.

Znalazłem odpowiednie nagrania i udało mi się je odczytać. Uruchomiłem jedną z najnowszych i najlepszych maszyn myślących i zadałem jej poważny problem do rozważenia. Ona powinna znaleźć odpowiedź. Jeśli zajdzie taka potrzeba, maszyny będą mogły pracować nad nim nawet nie tysiąc, ale i milion lat.

Uruchomiłem ostatecznie pięć maszyn i połączyłem je w szereg, tak jak nakazywała instrukcja.

Wszystkie pracują nad projektem urządzenia wyposażonego we wszystkie cechy, które utracił człowiek. Może to i brzmi komicznie, ale niech się pan dobrze zastanowi, zanim się pan zacznie śmiać. I niech pan spróbuje ujrzeć Ziemię taką, jak ja ją widziałem z terenu Neva City tuż przedtem, zanim Reo Lantal nacisnął włącznik.

Był zmierzch, Słońce właśnie zachodziło. Dokoła rozciągała się pustynia zabarwiona tajemniczymi, zmieniającymi się kolorami. Potężne, metalowe ściany dźwigały się w górę, ku dzielnicom mieszkalnym poprzecinanych spiralami i wieżami, podzielonym ogrodami pełny-

mi wysokich drzew i kwitnących kwiatów. Powietrze w tych rajszych ogrodach przesycone było różowosrebrzystą poświatą.

Wszystkie metalowe konstrukcje przekazywały delikatny, jednostajny, basowy pomruk i drzenie nieśmiertelnych, doprowadzonych do perfekcji maszyn, zbudowanych ponad trzy miliony lat wcześniej i od tamtej chwili nie tkniętych dłonią człowieka; działających nieprzerwanie. Miasto martwe. Ludzie tu żyli i powodowani nadzieją budowali; a potem wymarli, a pozostała po nich rasa niewysokich ludzików, którzy potrafili tylko się dziwić, przyglądać i tęsknić za zapomnianym rodzajem towarzystwa. Podziwiali olbrzymie miasta pobudowane przez ich przodków, ale wiedzieli o nich jeszcze mniej niż maszyny.

Przetrwaly też pieśni, które chyba najlepiej oddawały znaczenie tragedii. Mali, pozabawieni nadziei ludzie, zagubieni pośród niezrozumiałego ogromu potężnych maszyn, które rozpoczęły swoją pracę trzy miliony lat wcześniej i nie umiały przestać. Byli martwi, choć nie potrafili umrzeć i znieruchomieć.

Włączyłem jedną z ich maszyn i zadałem jej program, który - kiedy nadejdzie odpowiedni czas - zostanie zrealizowany.

Powstanie jeszcze inna maszyna, posiadająca wszystkie te cechy, które człowiek utracił. Maszyna z ciekawością.

Wówczas uczyniłem wszystko, żeby jak najszybciej powrócić w swoje czasy. Urodziłem się u zarania pierwszych prawdziwie słonecznych dni naszej cywilizacji. Nie należałem do tego mrocznego, umierającego świata zmierzchu ludzkości.

Wróciłem. Może nieco za daleko przeszłość, ale problem przeniesienia do właściwej mi epoki nie będzie dla mnie nazbyt skomplikowany.

I to już cała jego opowieść - rzekł Jim. - Ani razu nie powiedział mi, że jest to prawda. Nic nie mówił na ten temat. Zamyśliłem się nad tym wszystkim tak głęboko, że nawet nie zauważyłem, kiedy wysiadł w Reno, gdy zatrzymałem się na stacji benzynowej.

A jednak nie był to taki sam człowiek jak my - powtórzył Jim stanowczym głosem.

Jim utrzymywał, że nie wierzy w całą tę opowieść. Ale raczej wierzył, inaczej nie potarzałby z taką stanowczością, że jego gość nie był takim samym jak my człowiekiem.

Ja też uważam, że był inny. Wierzę, iż żył naprawdę i prawdopodobnie też umarł, gdzieś w trzydziestym pierwszym wieku. I myślę, że widział również zmierzch naszej rasy.

Przełożył ANDRZEJ LESZCZYŃSKI